17.8.47

Cena egzemplarza

w W. Brytanii ...	9 d.
w Belgii	5 fr.b.
we Francji	10 fr.fr.
w Holandii	40 cent
w Niemczech ...	2 RM.
w Szwajcarii	40 rp.
w Szwecji	60 öre
we Włoszech ...	30 lir

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca o wolność

Rok VII **Sobota 27 września 1947 r.** **Nr 39 (273)**

W NUMERZE

TYTUS FILIPOWICZ — Polskie dyskusje londyńskie
SZYMON WOLF — Po Genesis — Exodus
DR TADEUSZ FELSZTYN — Rakiety dalekiego zasięgu
TADEUSZ SUŁKOWSKI — Obrachunki z romantyzmem
JERZY PIATKOWSKI — Nieznany przyjaciel Polski
ON — Rozmyślania egzystencjalistyczne
CEZARY GOŁKOWSKI — Maska i ręce Witolda
DR TADEUSZ BORN — Psioczący kundlizm
BARBARA TOPORSKA — Beczki w Shobdan
JAKUB ROZENEK — O domach w Londynie i o Domu Kombatantów

Niezbędne zastrzeżenia

Dwa świeże fakty, o pozornie nierównym znaczeniu obrazują sytuację, w jakiej znalazła się Polska po drugiej wojnie światowej. Jednym z nich była nieobecność Polaków na uroczystościach, związanych z siódmą rocznicą „bitwy o Brytanię". Drugi fakt to niesłychane wystąpienie komunistycznego ministra spraw zagranicznych z Warszawy p. Modzelewskiego w obronie prawa veta wielkich mocarstw, na Zgromadzeniu Ogólnym O.N.Z.

Pierwszy z tych faktów wiąże się z wypchnięciem Polski z grona sprzymierzonych. Drugi z wepchnięciem Polski do strefy sowieckiej. Oba wywodzą się z „rozwiązań", narzuconych nam przemocą, i przyznać trzeba — z błędów popełnionych swego czasu przez niektórych polityków polskich, którzy w swej nieświadomości prowadzili politykę nie polską, lecz cudzą.

O udziale Polaków, choćby nawet pomijanych w programie uroczystości w „Bitwie o Brytanię" — mówić będą cmentarze. Pozostaną one pamiątką dla jednych, wyrzutem — dla drugich. Natomiast wystąpienia przedstawicieli rządu warszawskiego za granicą były i są niesłychaną potwarzą, rzuconą na naród polski i na politykę polską. Naszym obowiązkiem jest stwierdzić, że nie mają one nic wspólnego ani z narodem polskim, ani z polityką polską.

Niemniej jednak przyjmowane są w dobrej czy złej wierze, za polskie wystąpienia. Każdej ocenie, kwalifikującej działalność dyplomacji sowieckiej, wszystkim głosom oburzenia na postępowanie, niezgodne z sumieniem świata cywilizowanego — towarzyszy nieodmiennie stwierdzenie, że odpowiedzialność za owe czyny ponoszą Sowiety i... Polska. Formułka jest już ustalona: „Przeciwko wnioskowi (czy za wnioskiem) głosował tylko delegat sowiecki, no i (oczywiście) polski".

To słowo „oczywiście" ma jednak inną jeszcze wymowę. Nie należy bowiem zapominać o technice, zastosowanej przy operacji. Najpierw narzucono Polakom przemocą rząd, złożony z większości obcych agentów. Następnie zaś obciążono Polaków odpowiedzialnością za działalność tychże agentów. Zaszywano grubymi nićmi, podczas gdy pacjent był obezwładniony.

Trzeba więc powiedzieć wyraźnie i otwarcie, **że odpowiedzialność za to, co się robi w imieniu Polski spada na tych, którzy nie dopuścili lub pomagali w niedopuszczeniu narodu polskiego do głosu po t.zw. wyzwoleniu. Naród polski nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności. Spada ona na rząd sowiecki i na rządy, które brały udział w narzucaniu Polakom obcego panowania.** Z tego stanu rzeczy powinny w przyszłości wyniknąć odpowiednie następstwa polityczne i prawne.

Pogląd ten nie jest wyłącznie poglądem Polaków, mających możność swobodnego wypowiadania swych myśli. Stopniowo zaczyna on brać górę i u obcych, z opinii publicznej docierając do rządów. Ze strony oficjalnych kół w St. Zjednoczonych dawano w ostatnich czasach wielokrotnie do poznania, że zaczyna się tam wyraźnie odróżniać działalność warszawskiego rządu od życzeń i woli Polaków. Pod tym względem bardzo znacząca była odpowiedź, jakiej udzielił Prezydent Truman p. Winiewiczowi, w chwili, gdy ten wręczał listy, akredytujące go w Waszyngtonie. Odpowiedź Prezydenta była dla dyplomacji warszawskiej wręcz kompromitująca, ale dla Polski pożyteczna. W Londynie nie przyjęto jeszcze do oficjalnej wiadomości owego podstawowego rozróżnienia, choć wszyscy doskonale wiedzą o co chodzi.

Porządek — jeżeli tak można powiedzieć — zaprowadzony na świecie po zakończeniu działań wojennych okazał się bardzo nietrwały, gdyż był oparty na obietnicach, których nie dotrzymano i na przewidywaniach, które się nie sprawdziły. Toteż smutna zabawa „na niby" ustępuje miejsca rozmyślaniom „na serio" nad tym, co z tego wszystkiego wyniknie. Czas już na pozdejmowanie strojów maskaradowych, skoro maskarada się kończy.

Trzeba przede wszystkim z całą stanowczością odrzucić tłumaczenia, że tylko sąsiedztwo Zw. Sowieckiego (jak niektórzy sądzą za granicą) zmusza rząd warszawski do stosowania określonej taktyki i czynienia ustępstw. Takie tłumaczenie, przekonywujące z pozoru, nie ma obecnie podstaw w rzeczywistym stanie rzeczy. Byłoby jeszcze możliwe do przyjęcia, gdyby w Warszawie rządził rząd, wyłoniony swobodnie przez społeczeństwo, ale naciskiem do ustępstw zmuszany. W rzeczywistości takiego rządu w Polsce nie ma, natomiast rządy sprawują, na najważniejszych stanowiskach, agenci obcego mocarstwa, specjalnie w tym celu wyszkoleni. Nie ma zatem mowy o żadnej „taktyce" — jest tylko wypełnianie rozkazów, wydawanych przez Moskwę, a wykonywanych przez ludzi, występujących nierzadko pod przybranymi nazwiskami.

Nie mają oni, jak to powszechnie w tym tomo, żadnego mandatu od narodu polskiego (bo nikt nie uważa za mandat sfałszowanych „wyborów") ani na sprawowanie rządów, ani na obciążanie Polski moralną czy materialną odpowiedzialnością za swą działalność za granicą. Toteż nie ulega wątpliwości, że z chwilą gdy naród polski uzyska możność swobodnej wypowiedzi, zażąda on zrewidowania całokształtu tej działalności — wszelkimi środkami politycznymi i prawnymi, jakie będzie miał do rozporządzenia.

J. Pr.

„WSCHÓD" I „ZACHÓD" (1)
w odbudowie gospodarczej Polski

Od wytycznych tzw. „Manifestu Chełmskiego" z dn. 27 lipca 1945 r., poprzez ustawy z dn. 6 września 1944 i 13 stycznia 1945 o reformie rolnej oraz ustawę z dn. 3 stycznia 1946 o upaństwowieniu przemysłu — uchwały Krajowej Rady Narodowej z dn. 21 września 1946 r. o „planie trzyletnim", biegną podstawowe linie programowe współczesnej polskiej gospodarki.

Propaganda krajowa twierdzi, że w oparciu o ten program Polska powojenna wykazuje ogromny dynamizm rozwojowy, większy niż jakikolwiek kraj zachodnio-europejski. Ten wniosek na pewno nie jest słuszny. Szereg krajów Zachodu Europy, które po wojnie nie chwyciły się radykalnych reform społecznych i pozostawiły duże pole pracy dla inicjatywy prywatnej, jak Belgia, Holandia, Szwajcaria, Portugalia, przodują dziś w rozwoju ekonomicznym. Porównanie ich wyników z wynikami polskimi jest dzisiaj niemożliwe. Polska rzadko jeszcze figuruje w statystykach międzynarodowych, a jej cyfry produkcyjne ogłaszane lub cytowane w kraju, wykazują niekiedy tak olbrzymie rozbieżności, że wszelka analiza porównawcza natrafia na trudności.

Amerykański sekretarz Stanu Marshall rozmawia z premierem belgijskim Spaak'iem w czasie obrad O.N.Z.

Nie o to jednak idzie. Obiektywny badacz stosunków polskich musi stwierdzić, że ewolucja gospodarcza kraju dokonała istotnie dużego skoku naprzód w porównaniu ze swą powojenną podstawą wyjściową. Motorem tej ewolucji są jednak nie tyle rozdmuchiwane przez propagandę nowe podstawy ustroju społeczno-gospodarczego, gdyż te są dziś często czynnikiem hamującym, i nie biurokratyczna gospodarka planowa typu wschodnio-europejskiego, ile fakt, że polskiej administracji gospodarczej udało się pozyskać dla odbudowy **pomoc zagraniczną.** W warunkach, w jakich znalazła się Polska po wojnie, pomoc ta jest czynnikiem nieodzownym urzeczywistnienia wszelkich planów, niezależnie od ich barwy społeczno-politycznej. To zagadnienie interesuje nas w tej chwili, i to pod kątem widzenia wkładu, jaki w odbudowę polskiej gospodarki powojennej dokonywuje tzw. „Wschód" i „Zachód".

Aby to zagadnienie naświetlić musimy zanalizować pod wspomnianym kątem widzenia kilka form pomocy i współpracy zagranicznej, jakie zna teoria tzw. „gospodarstwa zewnętrznego" i które mogą nas tu interesować w praktycznym zastosowaniu do Polski. Formami tymi są: wymiana towarowa, import charytatywny, odszkodowania, kredyty zagraniczne, pomoc techniczno-intelektualna.

Wymiana towarowa

Handel zagraniczny jest jednym z podstawowych i najbardziej twórczych czynników rozwoju gospodarczego, a zarazem najzdrowszą formą wzajemnej pomocy międzynarodowej. Szereg krajów, jak Anglia, Holandia, Belgia wzbogaciły się właśnie przez handel zagraniczny, którego twórczy element tkwi w tzw. „kosztach komparatywnych", teorii znanej i sprawdzonej wielokrotnie od czasów Ricarda.

Rozwój polskich obrotów handlowych z zagranicą, ocenionych w dolarach, wykazuje następujące zestawienie:

	Import (w 1000	Eksport dolarów)
1936/38 (przeciętna roczna)	224.590	215.053
1945	34.142	37.760
1946	138.845	133.059
1947, I półrocze	108.348	96.824

Bezpośrednio po wojnie, w r. 1945, polski handel zagraniczny uzależniony był niemal całkowicie od Rosji, co w ówczesnych warunkach politycznych było zrozumiałe. Rosyjski import, który wyraźnał się przede wszystkim w dostawach surowca dla polskiego przemysłu, wynosił w r. 1945 około 90% ogólnego polskiego przywozu. Import ten był całkowicie zrównoważony wywozem do Rosji polskiego węgla, cementu, stali, wyrobów włókienniczych, przy czym — z uwagi na dyktowane przez Rosję ceny rozrachunkowe — produktywność tej wymiany towarowej dla Polski była dość wątpliwa. Cały obrót handlowy polsko-rosyjski nosił charakter obrotu uszlachetniającego, korzystnego dla Rosji. Ogólna wartość tego obrotu, jak wynika z zacytowanego powyżej zestawienia, była zresztą niewielka.

Ta jednostronna zależność polskiego handlu zagranicznego od Rosji zmniejszyła się dość poważnie w ciągu roku 1946. Znamienny ten rozwój dokonał się nie tyle pod wpływem motywów ideologicznych, ile **realno-politycznych** konieczności, wobec których stanęła administracja gospodarcza w kraju.

Aby zwiększyć przywóz środków produkcyjnych i żywnościowych, których zniszczony przez wojnę kraj pilnie potrzebował, jak również powiększyć produktywność zagranicznej wymiany handlowej na podstawie korzystniejszego stosunku cen, rząd warszawski musiał zdecydować się na zmianę swej orientacji handlowo-politycznej bardziej w kierunku na Zachód. Idąc po tej linii zawarto w r. 1946 szereg traktatów handlowych z krajami zachodnio-europejskimi, a więc ze Szwajcarią, Szwecją, Francją, Włochami, Austrią, Danią, Norwegią i Holandią, tak że — oceniając zagadnienie choćby tylko na podstawie polskich cyfr oficjalnych — udział Rosji w całym przywozie polskim w r. 1946 spadł do 70%, a w końcowych miesiącach tego roku wynosił już nie więcej jak około 50%.

Rozwój wymiany handlowej na korzyść „Zachodu" postąpił jeszcze bardziej naprzód w r. 1947. W tym roku warszawskiej administracji gospodarczej, korzystającej z pewnego rodzaju monopolu faktycznego w zakresie eksportu węgla, udało się poważnie zwiększyć obroty handlowe z krajami zachodnio-europejskimi. W końcu maja zawarto umowę handlową z Austrią (8.5 mil. dolarów na rok po stronie importu), 19.4 ze Szwecją (110 mil. koron w imporcie), w początkach czerwca z Anglią (35 mil. funtów w imporcie na 3 lata), 10.6 ze Szwajcarią (100 mil. fr. szwajc.) i w sierpniu z Francją (1,7 miliardów fr. franc. po stronie importu, skompensowanych 1 mil. ton węgla w eksporcie).

W ten sposób można spodziewać się, że udział Rosji w przywozie polskim w r 1947 spadnie poniżej 50%. Udział innych krajów wschodnio-europejskich, będących pod wpływami Rosji, w handlu z Polską jest niewielki i nie wpływa na zmianę obrazu scharakteryzowanego rozwoju.

Import charytatywny

Cyfry polskiego handlu zagranicznego nie obejmują wprowadzonych do kraju wartości gospodarczych z tzw. **importu charytatywnego**, na który składają się w pierwszym rzędzie dokonane w latach 1945-1947 dostawy U.N.R.R.A Ogólna wartość tych dostaw w postaci środków żywności, odzieży, surowców przemysłowych, koni, traktorów itp. wyniosła łącznie z kosztami transportu 474 mil. dol., osiągając poziom więcej niż dwukrotny w porównaniu z przywozem dokonanym w czasie trwania akcji U.N.R.R.A. w ramach umów handlowych.

Wielka rola dostaw charytatywnych U.N.R.R.A uwypukla się jaskrawo przez porównanie kilku szczególnie ważnych artykułów z regularnym importem handlowym w r. 1946:

Artykuły w tonach	1946 Import handlowy	1946 Dostawy UNRRA
Groch, fasola, strączkowe	489.490	381.250
Zboże do spożycia i na zasiew	175	8.714
Mąka	—	13.448
Kawa, herbata, kakao	19	11.487
Masło	1.513	1.422
Smalec	51	16.317
Ser	—	8.200
Mleko w proszku	—	56.668
Śledzie i konserwy rybne	23.436	45.102
Mięso i konserwy mięsne	1.272	83.084
Tłuszcze jadalne	100	20.347
Konie, bydło (sztuk)	10.226	135.387

Poza dostawami U.N.R.R.A. import charytatywny do Polski dokonywał się i nadal jeszcze trwa, w postaci **paczek** z Ameryki, Szwajcarii i Szwecji, których wartość jest trudna do oceny niemniej jednak wyrażająca się w kwotach bardzo poważnych.

Nie ulega wątpliwości, że cały ten niewątpliwie znaczny, aczkolwiek niewystarczający na pewno w stosunku do potrzeb, wwóz wartości gospodarczych w drodze bezpłatnej, musi być zaliczony całkowicie na dobro „Zachodu". W latach 1945 i 1946 właśnie ten wwóz przyczynił się decydująco do postępu w odbudowie gospodarczej ziem polskich i do odbudowy człowieka jako takiego. Przerwanie dostaw U.N.R.R.A. w połowie r. b. pociągnęło za sobą natychmiast pogorszenie się sytuacji żywnościowej w kraju i oddziałało niekorzystnie na całe życie gospodarcze, czego nie tają czynniki oficjalne w Warszawie.

Odszkodowania i rachunki powojenne

Odszkodowania pochodzą ze strony krajów, które zawiniły wojnę. Zagadnienie „Wschód" — „Zachód" występuje tu w formie pomocy, jaką jedna i druga strona udziela Polsce w uzyskaniu tych odszkodowań od Niemiec. Rząd w Warszawie nadzieje na pozyskanie odszkodowań wiąże z Rosją.

W dniu 16 sierpnia 1945 r., Polska zawarła podstawowe w tym zakresie porozumienie z Rosją Sowiecką. Porozumienie to przewidywało w art. 1., że — zgodnie ze swym oświadczeniem na konferencji poczdamskiej — Związek Sowiecki zrzeknie się na rzecz Polski swoich pretensji do niemieckich fabryk i urządzeń przemysłowych **na terenie Polski.** Artykuł drugi rozwijał sprawę zgłoszenia na konferencji poczdamskiej polskich pretensji reparacyjnych. Rząd Sowiecki zgodził się na ustąpienie Polsce ze swej części odszkodowań, które mają mu być dostarczone, 15% wszystkich dostaw reparacyjnych w sowieckiej strefie okupacji Niemiec, 15% tych kompletnych urządzeń przemysłowych, które w myśl uchwał konferencji poczdamskiej mają być dostarczone Rosji ze strefy alianckiej na Zachodzie **Niemiec w drodze wymiany** na inne towary polskie, wreszcie 15% tych urządzeń przemysłowych, które mają być dostarczone Rosji z zachodniej strefy okupacyjnej bez żadnej opłaty i wynagrodzenia.

Jak wiadomo, Rosja nie czekając na międzysojusznicze załatwienie całej sprawy odszkodowań, w swej własnej strefie okupacyjnej załatwiała to zagadnienie przez wywiezienie niemieckich urządzeń przemysłowych i komunikacyjnych do siebie, nie dając Polsce tego, do czego zobowiązała się w porozumieniu z sierpnia 1945 r. Natomiast Polska wykonywała to porozumienie skrupulatnie. Rząd warszawski zobowiązał się mianowicie, w zamian za obietnicę odszkodowań niemieckich, dostarczyć Rosji od 1946 r. w czasie trwania okupacji Niemiec **węgiel** w następujących ilościach: w pierwszym roku okupacji 8 milionów ton, w następnych czterech latach po 13 mil. ton, a w dalszych latach okupacji, aż do zakończenia jej, po 12 milionów ton.

W ten sposób, zamiast spodziewanej pomocy rosyjskiej w odszkodowaniach niemieckich, powstało dla Polski obciążenie, noszące wszelkie cechy **eksploatacji** Polski przez Rosję. W r. 1946 na 14.900 tys. ton polskiego eksportu węglowego, 9.450 tys. ton poszło do Rosji, w tym 3.250 tys. w ramach umowy handlowej i 6.200 tys. z tytułu wyrównania za pozostawione Polsce przez Rosję reparacje niemieckie. Ta ostatnia pozycja nie wchodzi do statystyki polskiego handlu zagranicznego, przedstawionej powyżej. Jeśli uwzględni się tę pozycję, staje się jasne, że wywóz polski do Rosji jest większy niż przywóz, a ponieważ w tym wywozie jest duża pozycja „kompensacji" za urządzenia przemysłowe niemieckie, które się Polsce słusznie należały, cała „pomoc" rosyjska dla Polski staje we właściwym świetle.

Rządowi warszawskiemu udało się na szczęście uniemiejszyć nieco tę rosyjską eksploatację gospodarstwa polskiego w nowym układzie z marca rb., na którego mocy Rosja zgodziła się na zmniejszenie do połowy dostaw polskiego węgla „kompensacyjnego", tzn. z przewidzianych w 1947 r. 13 milionów na około 6,5 mil. ton, a więc tyle, ile wywieziono do Rosji z tego tytułu w r. 1946. Wskutek tego rząd w Warszawie pozyskał pewną nadwyżkę w wywozie węglowym, która właśnie mogła być wykorzystana na rozszerzenie stosunków handlowych, bardziej produktywnych, z Zachodem Europy.

D Janusz Rakowski

(Dokończenie nastąpi)

Uległalizowane morderstwo Petkowa

(B.D.) 16 sierpnia 1947 roku Trybunał w Sofii skazał na śmierć Nicola Petkowa, przywódcę opozycji w Bułgarii.

Proces przeciwko Petkowowi bardzo przypomina słynny proces lipski. Tam Hitler usiłował skazać na śmierć komunistę bułgarskiego George Dmitrowa, pod pretekstem podpalenia „Reichstagu", aby osiągnąć likwidację partii komunistycznej w Niemczech. W Sofii natomiast ten sam Dmitrow, który został w Lipsku uniewinniony, następnie przez szereg lat pełnił funkcję sekretarza III Międzynarodówki, a obecnie jest premierem Bułgarii, skazał na śmierć, przez powołny sobie „sąd", Petkowa za „zamach na bezpieczeństwo państwa". Pod tym pozorem chodziło o zlikwidowanie bułgarskiego stronnictwa agrarnego, którego Petkow był sekretarzem generalnym.

Znana jest naszym czytelnikom jego historia.

Po „oswobodzeniu" w sierpniu 1945 roku ministrowie stronnictwa agrarnego podali się do dymisji, by zaprotestować przeciwko dyktaturze partii komunistycznej. Petkow stojąc wówczas na czele swej partii, rozpoczął legalną walkę o demokratyzację swego kraju. Taki przeciwnik był jednak zbyt niebezpieczny dla czerwonego dyktatora Bułgarii Georga Dmitrowa, dla którego szybka likwidacja Petkowa jest sprawą bardzo pilną.

W dniu 5 czerwca br. „rząd" Dmitrowa uzyskał od parlamentu zwolnienie Petkowa z przywileju nietykalności poselskiej, a po aresztowaniu i komedii procesu, rozpoczętego 5 sierpnia br. Petkow został skazany na śmierć już 16 sierpnia br.

Czemuż taki pośpiech?

Oto istotne i nie budzące wątpliwości powody:

1) rząd bułgarski zmierza do zupełnej likwidacji opozycji przed wycofaniem wojsk rosyjskich z Bułgarii, co ma nastąpić w 90 dni po ratyfikacji traktatu pokojowego. Tylko bowiem obecność wojsk rosyjskich może zapewnić rządowi Dmitrowa utrzymanie przy życiu dyktatury komunistycznej.

2) Artykuł 2 traktatu pokojowego z Bułgarią zapewnia obywatelom prawo obrony wolności. Jeśliby więc Petkow był sądzony po ratyfikacji traktatu, nigdyby nie mógł być skazany na śmierć.

Oto prawda o procesie Petkowa.

Wykonanie tego „wyroku", to wyzwanie rzucone przez komunistyczny totalizm zachodniej demokracji.

Opinia publiczna świata wolnego robi wszystko, by wstrzymać to okrutne morderstwo. Od Zachodu zależy, czy po wspólnym zwycięstwie nad nacjonal-socjalizmem będziemy w stanie zapewnić wolność i prawdziwą demokrację na całym świecie.

Anglia i St. Zjednoczone

„Napięcie w sprawie wycofania wojsk brytyjskich z Grecji, nieporozumienia palestyńskie i uchylanie się St. Zjednoczonych od poparcia W. Brytanii w Organizacji Narodów Zjednoczonych w sporze z Egiptem — jeśli to wszystko nie zostanie wyjaśnione, to może dojść do poważnego rozłamu (rift) pomiędzy tymi dwoma krajami.

„Pod powierzchowną harmonią nie można ukryć groźnych znaków nadciągających kłopotów...".

Powyższe uwagi są cytatami z tajnego raportu Kennana, ogłoszonego przed kilkunastu dniami. Jak wiadomo, pan Kennan jest szefem planowania politycznego w Departamencie Stanu. Toteż słowa jego mają specjalną wagę. Bodajże po raz pierwszy tak oficjalnie i tak bez osłonek stwierdzono istnienie głębokich rozbieżności politycznych i gospodarczych pomiędzy Waszyngtonem i Londynem. Nie znaczy to jednak, że te rozbieżności zarysowały się dopiero teraz.

Rywalizacja anglo-amerykańska datuje się od drugiej połowy XIX wieku, od walki o wpływy na Dalekim Wschodzie, o podział rynków zbytu. Okres między dwoma wojnami światowymi przynosi groźne nasilenie zmagania się gospodarczego wśród Anglosasów.

Jeśli istnienie tego nieporozumienia uchodziło uwagi przeciętnej opinii publicznej, to niewątpliwie działo się to i z tego powodu, że do czasu zakończenia drugiej wojny światowej gospodarczy konflikt anglo-amerykański był jednym z wielu, w bardziej niż dzisiaj skomplikowanej grze politycznej. Wystarczy podkreślić fakt, że uczestniczyło w niej przedtem sześć wielkich mocarstw, gdy dzisiaj jest już tylko trzech partnerów rozgrywki. A nawet dwóch. Bo tenże sam raport Kennana powiada, że W. Brytania przestała być równorzędnym partnerem „wielkiej trójki". Ale w obecnej fazie polityki międzynarodowej wydaje się takie określenie przedwczesne. Raczej należałoby powiedzieć, że W. Brytania usiłuje utrzymać swoją pozycję równorzędnego partnera „wielkiej trójki".

Tak czy owak charakter i forma dalszej współpracy anglo-amerykańskiej są dzisiaj w jeszcze wyższym stopniu, niż w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej zasadniczym elementem polityki międzynarodowej. Na nim, obok rachuby na wewnętrzny amerykański kryzys gospodarczy, oparte są nadzieje Kremla. Oto jak to zagadnienie wygląda w oświetleniu rosyjskiego publicysty z **„Nowych Czasów"** (nr 1 — 1947 r.) I. Tajgina.

Historia rywalizacji amerykańsko-angielskiej od czasu wybuchu drugiej wojny światowej da się podzielić — jego zdaniem — na trzy okresy:

a) Pierwszy od początku wojny do 22 czerwca 1941. Zwłaszcza od chwili załamania się Francji W. Brytania całkowicie zależy od St. Zjednoczonych. „W tych dniach — przytaczamy dosłownie za Tajginem — wielu Anglików z niepokojem mówiło, że jeśli sprawy pójdą tak dalej, to z końcem wojny W. Brytania ulegnie sama, mówiąc językiem ekonomicznym, „zaanektowaniu przez Amerykę"... Wielu Amerykanów ze swej strony uprzejmie zapewniało, że po wojnie W. Brytania może stać się forpocztą europejską wielkiej anglosaskiej federacji, z głównym ośrodkiem w Waszyngtonie".

b) Z atakiem Hitlera na Związek Sowiecki rozpoczęła się druga faza. „Kampania Hitlera na wschodzie nie tylko wzmocniła W. Brytanię militarnie, ale także bardzo istotnie zmniejszyła jej zależność od St. Zjednoczonych. Miała ona teraz dwóch sprzymierzeńców i, zgodnie ze swą tradycją, zaczęła manewrować między obydwoma.

„Gdy w dniu 7 grudnia 1941 St. Zjednoczone przystąpiły do wojny, pozycja W. Brytanii poprawiła się jeszcze bardziej i to nie tylko pod względem militarnym.

„W wyniku, w okresie tym W. Brytania wzmocniła swoją pozycję międzynarodową... Przy końcu wojny rola W. Brytanii w radzie wielkiej trójki była w pełni taka sama jak Zw. Sowieckiego i St. Zjednoczonych i wskutek tego Londyn prowadził niezależną politykę zagraniczną".

c) Po klęsce Niemiec i Japonii Anglia weszła w obecną trzecią fazę swoich stosunków z Ameryką. „Wielka Brytania — pisze p. Tajgin — wyszła z wojny osłabiona ekonomicznie i politycznie, jednak nie w takim stopniu, aby istotnie uległa naruszeniu jej światowa pozycja".

W dalszej części swojego artykułu Tajgin usiłuje udowodnić, że W. Brytania mogłaby była zachować swoją pozycję międzynarodową, gdyby rząd Attlee nie był się zdecydowanie odwrócił od Zw. Sowieckiego. Widocznie rosyjski publicysta liczy na krótką pamięć, występując z takim naiwnym kuszeniem. Sądzi, że zapomniano na zachodzie o tej furii ataków rosyjskich na Imperium Brytyjskie, podjętych przez Wyszyńskiego i prasę sowiecką niemal zaraz na drugi dzień po zakończeniu wojny z Niemcami i Japonią. Zresztą to „kuszenie" W. Brytanii, to namawianie jej do lawirowania pomiędzy Rosją i St. Zjednoczonymi, obliczone na pogłębienie rozdźwięków między Anglosasami, było przewodnim motywem bardzo wielu artykułów w prasie sowieckiej, omawiających jak to się popularnie w żargonie bolszewickim nazywa, „przeciwieństwa wśród państw kapitalistycznych".

Jednak dyplomacja brytyjska nie uległa tym „kuszeniom", tak jak nie uległa dotychczas namowom całkowitego podporządkowania się Waszyngtonowi.

Doskonale rozumiejąc niebezpieczeństwo wiązania się z Rosją przeciw St. Zjednoczonym — co by zresztą było oparte na bardzo kruchych podstawach — Londyn zastosował taktykę wygrania na swoją korzyść ewaltownie narastającego zatargu amerykańsko-sowieckiego. W. Brytania nie chce doprowadzić do sytuacji, w której znalazłby się sam na sam bądź z Waszyngtonem, bądź z Moskwą. W pierwszym bowiem wypadku istotnie mogłoby nastąpić gospodarcze „zaanektowanie" przez Amerykę, w drugim zaś rozbicie Imperium przez bolszewizm i imperializm rosyjski.

Nad dzisiejszą polityką brytyjską ciąży, obok zagadnień gospodarczych, jeszcze jeden bardzo ważny czynnik. Nowoczesna technika wojny: rakiety i bomby atomowe. Jeśli przed wybuchem drugiej wojny światowej czytało się w prasie angielskiej artykuły tłumaczące, że W. Brytania za wszelką cenę powinna uniknąć wojny lotniczej, to dzisiaj obawa przed zniszczeniem wywołanym rakietowo-atomową bronią jest bardziej powszechna i głębiej uzasadniona. Stąd marzenia o „neutralności" na wypadek wojny amerykańsko-rosyjskiej. Brytyjczycy pragnęliby uniknąć pierwszego uderzenia, boją się odegrania podobnej roli, jaką odegrała Polska we wrześniowym wybuchu drugiej wojny światowej.

Na wiosnę br. „Washington Times Herald" ogłosił jako tzw. „Mass Observation" (angielski odpowiednik instytutu Gallupa) następującą wypowiedź trzydziestoletniego angielskiego krawca:

„Myślę, że byłoby cudownie, gdyby Rosja z Ameryką prowadziły wojnę, pozostawiając resztę świata samej sobie. Jest tylko jedna cywilizacja, a jest nią cywilizacja europejska. Rosja jest azjatycka, a Jankesi są mieszańcami — i wszyscy inni mogliby siedzieć i grzebać w pieniądzach, podobnie jak robi to teraz Irlandia i Szwecja i Portugalia".

Tylko czy w przyszłej wojnie będą neutralni? Czy może marzyć o tym kraj, mocarstwo, którego najistotniejsze interesy krzyżują się zarówno z interesami rosyjskimi, jak i amerykańskimi?

Zresztą wizję londyńskiego krawca dość szybko rozwiało gwałtowne pogorszenie się stosunków amerykańsko-rosyjskich i ostatnie wewnętrzne trudności gospodarcze W. Brytanii. Pod naciskiem Waszyngtonu cała polityka Bevina i jego umiarkowanych przyjaciół z Partii Pracy, zmierzająca do stworzenia umiarkowanej socjalistycznej Europy Zachodniej, jako równoważnika między Rosją i St. Zjednoczonymi, uległa dzisiaj zachwianiu. Bevin zrozumiał to już po niepowodzeniu marcowej konferencji moskiewskiej. I dlatego już w drodze powrotnej z Moskwy do Londynu podjął jeszcze jedną rozpaczliwą i niezbyt przemyślaną — jak tego dowiedły natychmiastowe aresztowania polskich socjalistów niezależnych — próbę montowania „socjalistycznej Europy". Rozmowy z Cyrankiewiczem były pierwszym objawem tych jego usiłowań. Później przyszła walka z Amerykanami o Niemcy.

Z jednej strony z braku kapitału usiłowali Anglicy umocnić swoją pozycję przez nacjonalizację przemysłu niemieckiego, z drugiej zaś strony w Bernie szwajcarskim dokonano próby odtworzenia drugiej międzynarodówki socjalistycznej, starając się wprowadzić do niej Schumachera. Sprzeciw socjalistów polskich i krajów środkowo-europejskich zmusił Anglików do chwilowego zaniechania tego projektu. Nie jest pozbawiony pewnej pikanterii fakt, że wskrzeszeniu drugiej międzynarodówki z udziałem socjalistów niemieckich patronował „The Economist".

„Los wschodnio-europejskiego socjalizmu — czytamy w numerze z dnia 16 sierpnia br. — zależy od losu Europy. Dzisiaj Europa nie istnieje, ponieważ nie istnieje jej najliczniejszy i centralnie położony naród, naród niemiecki. Zdrada Niemiec zniszczyła Europę i stąd wynikła tragedia Węgier, Polski i innych wschodnich krajów. Praktyczne wykonywanie programu socjalistycznego w Wschodniej Europie jest obecnie zmonopolizowane przez partie komunistyczne, które są narzędziem rosyjskiego imperializmu. Następstwem tego jest brutalne i grubiańskie fałszowanie programów i kompromitowanie idei demokracji i socjalizmu. Proces ten może ulec odwróceniu tylko wtedy, jeśli ośrodek atrakcji zostanie stworzony na Zachodzie, a to znowu jest możliwe wówczas gdy ramię przy ramieniu obok socjalistycznej Brytanii stanie demokratyczna Francja i demokratyczne Niemcy. Te myśli tkwią dziś w umysłach większości wschodnio-europejskich socjalistów, lecz oni nie mogą tego wypowiedzieć".

A jednak w Bernie przemawiali...

Jak wiadomo, Amerykanie wbrew Anglikom nie chcą Niemiec zjednoczyć, lecz rozbić na poszczególne państwa sfederowane. W środkowej Europie zaś stawiają dziś m.in. na międzynarodówkę chłopską i katolicyzm. Planem amerykańskim, przeciwstawiającym się angielskiemu planowi umiarkowanej socjalistycznej Europy zachodniej, jest Europa zorganizowana w oparciu o doktrynę Trumana i plan Marshalla.

W ostatnich tygodniach byliśmy świadkami przeciwstawiania się lub pomniejszania przez Brytyjczyków każdej inicjatywy amerykańskiej w Europie, a informacje prasy brytyjskiej o stanowisku Waszyngtonu w obecnej fazie zatargu rosyjsko-perskiego okazały się wręcz nieścisłe i wywołały oficjalne i prasowe odpowiedzi ze strony amerykańskiej.

P. Bevin na kongresie TUC otwarcie zaatakował Waszyngton i po zapowiedzi Marshalla, że będzie żądał na obecnej sesji ogólnej ONZ do zdecydowanego wyjaśnienia sprawy greckiej, zaniechał wyjazdu do N. Jorku.

Gdy szanse realizacji bevinowskich planów maleją, maleją tym samym i brytyjskie nadzieje na podział świata na trzy równoważące się strefy wpływów. Świat coraz wyraźniej dzieli się na dwie tylko strefy.

Jakie następstwa wynikną z tych zmian dla Europy środkowej?

Rosjanie, jak powiedzieliśmy na wstępie, prowadzili grę obliczoną na wykorzystywanie rywalizacji gospodarczej między Anglosasami. W miarę jednak jak wzrasta nacisk amerykański i słabnie wskutek trudności wewnętrznych samodzielna pozycja polityki brytyjskiej, słabną i nadzieje rosyjskie na podtrzymywanie gry na osi Waszyngton - Londyn. Wraz z postępem w organizowaniu się świata tylko w dwóch strefach Kreml zaciskać będzie coraz mocniej obrożę nałożoną na tzw. państwa — satelity. Obecna nowojorska sesja ONZ prawdopodobnie ten proces przyspieszy.

St. Starzewski

Polskie dyskusje londyńskie

Od p. Tytusa Filipowicza otrzymaliśmy poniższy artykuł, który zamieszczamy jako materiał dyskusyjny.

napisał TYTUS FILIPOWICZ

Dnia 29 listopada 1945 roku premier Arciszewski utworzył rząd, w którym teki ministerialne dostały trzy stronnictwa: Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Narodowe i Partia Pracy. Poza rządem pozostały ugrupowania polityczne mniejsze: Stronnictwo Ludowe „Wolność", Polskie Stronnictwo Demokratyczne, Polski ruch wolnościowy Niepodległość i Demokracja (popularnie tzw. „NID"), oraz Liga Niepodległości. Te ugrupowania stale dopominały się o utworzenie przy rządzie instytucji doradczej, obradującej nad bieżącymi sprawami politycznymi i będącej miniaturową namiastką Sejmu. Wreszcie na mocy porozumienia pięciu niezależnych stronnictw: trzech rządowych, P. Str. Demokratycznego i Str. Ludowego „Wolność", powstała „Rada Polskich Stronnictw Politycznych". Czynności rady nie obejmowały kontrolowania rządu, natomiast rada stawiała sobie jako cel: 1) ustalanie wytycznych polityki polskiej, 2) współdziałanie z rządem R. P. w Londynie, 3) inicjowanie i podejmowanie wystąpień politycznych.

W ciągu kilkunastu miesięcy swego istnienia Rada Polskich Stronnictw zajmowała się sprawami zagranicznymi, dotyczącymi Polski, zagadnieniami emigracyjnymi i osiedleńczymi, oraz sprawami związanymi z demobilizacją wojska polskiego. Szczegółowe sprawozdanie z działalności rady czytelnik znajdzie na łamach „Biuletynu" wydawanego przez biuro rady. Bodaj nikt lepiej niż członkowie rady nie zdawał sobie sprawy z ograniczonego zakresu jej działań. Toteż w radzie, z biegiem czasu, coraz mocniejszymi stawały się głosy, niezbyt przychylnie słuchane przez przedstawicieli „wielkiej dwójki" (PPS i SN) domagające się rozszerzenia kompetencji rady, przyznania jej przywileju kontrolowania prac i poczynań rządu oraz zniesienia prawa veto poszczególnych ugrupowań.

Poza tym, już na pierwszym posiedzeniu rady, jedno z „małych stronnictw", wyrażając pod adresem rządu uznanie za utworzenie rady, jednocześnie wyraziło nadzieję, że zostanie ona niezadługo powiększona o przedstawicieli „Nidu" i „Ligi Niepodległości". Następnie złożone zostały rządowi przez dwa stronnictwa projekty przetworzenia rady stronnictw na znacznie liczniejszą instytucję o szerszych kompetencjach. Jednakże do dnia zgonu Prezydenta Raczkiewicza żadna zmiana w organizacji rady stronnictw nie została dokonana.

Program polityczny rady określony był jej statutem, mówiącym, że należące do niej stronnictwa stoją na gruncie uchwał podziemnej Rady Narodowej, powziętych w Warszawie dnia 15 marca 1944 r. Uchwały te obejmowały reformy społeczne, ekonomiczne i polityczne, jakie winny być przeprowadzane w Polsce, wyzwolonej spod rosyjskiego najazdu. Pierwszy etap osiągnięć określony był jako utworzenie Polski całej, wolnej i niepodległej. Program rady stronnictw nie uznawał uchwał w Teheranie i w Jałcie i był taki sam, jak program rządu premiera Arciszewskiego. Rząd i rada mówiły jasno i wyraźnie, że granicą wschodnią tej Polski, jaką chcemy odzyskać, jest linia wyznaczona w traktacie ryskim tj. granica istniejąca w chwili wybuchu wojny 1939 roku.

Nie ulega wątpliwości, że chęć odzyskania takiej Polski jest więzią, łączącą Polaków znajdujących się dziś na emigracji, z wyjątkiem garści komunistów, wysługujących się Moskwie oraz z wyjątkiem zbłąkanych owieczek w rodzaju zwolenników p. Mikołajczyka, który uznał uchwały jałtańskie.

Dnia 16 sierpnia 1946 r. na jednolitym froncie niepodległościowym polskim pojawiła się niespodziewanie rysa. Mianowicie, w wydanej pod adresem międzysojuszniczej konferencji czterech wielkich mocarstw obradujących w Paryżu odezwie, podpisanej przez szereg organizacji socjalistycznych polskich, a również przez Komitet Zagraniczny PPS., znalazły się zdania mówiące, że granica wschodnia Polski ma być dopiero ustalona w przyszłości, na podstawie porozumienia demokratycznego Sejmu polskiego z reprezentacją narodów żyjących obok nas na wschodzie. Jednocześnie rząd polski i rada polskich stronnictw politycznych wysłały do tej samej konferencji wielkiej czwórki oświadczenie, żądające odbudowy Polskiej opartej o granicę wschodnią roku 1939. Kto choć trochę orientuje się w tym, w jaki złośliwy sposób propaganda nam niechętna wykorzystuje każdy drobiazg, aby niepodległej akcji polskiej zaszkodzić — łatwo zrozumie, że wrogie nam kancelarie natychmiast rozpuściły wiadomość, że treść odrębnej odezwy socjalistycznej dowodzi, iż tylko „burżuazja polska" obstaje przy żądaniu granicy ryskiej, natomiast socjaliści polscy godzą się na rozmowy w sprawie granicy polsko-rosyjskiej. Polacy mogą odtąd zapewniać się wzajem, że podpisując oświadczenie o przyszłym ustaleniu granicy wschodniej drogą rozmów z sąsiadami, mieli na myśli nie dzisiejszą sowiecką Ukrainę i Białoruś, lecz oba te kraje po dokonanym wyzwoleniu z jarzma moskiewskiego — jednak nie zmieni to już użytku, jaki z socjalistycznej odezwy zrobiła wroga Polsce propaganda: — w kartotece propagandy rosyjskiej na stałe pozostanie notatka streszczająca nieopatrzne słowa polskie...

Być może, że część organizacji, które odezwę socjalistyczną podpisały, nie zdawała sobie sprawy z możliwych skutków swego wystąpienia. Być może, że inni z pośród podpisujących działali pod wpływem namów, ustępując odwoływaniu się do ich altruizmu, w imię którego bratnie, ciemiężone ludy Ukrainy i Białorusi powinny mieć, w imię hasła samostanowienia, głos w sprawie granic w jakich mają mieszkać. Namowy te były zręcznym chwytem propagandy, gdyż odwoływały się do idealizmu, zawsze stanowiącego cechę polskiego charakteru. Lecz kierowniczy organ partii, Komitet Zagraniczny PPS., winien był sobie zdawać sprawę z tego, na jaki tor wchodzi, podpisując odezwę.

W radzie polskich stronnictw politycznych nie doszło do interpelacji z powodu odezwy PPS. Lecz komitet zagraniczny Polskiego Stronnictwa Demokratycznego, po kilku nieudanych próbach uzyskania wyjaśnień ustnych od PPS., wystosował do Komitetu Zagranicznego PPS., pismo, proszące o wyjaśnienie, czy, o ile chodzi o granicę wschodnią, dla PPS., jest miarodajny pogląd wyrażony w odezwie, czy też oficjalne oświadczenie Prezydenta, rządu i rady stronnictw, streszczające się w dwóch słowach „granica 1939 r."? Pismo pozostało bez odpowiedzi.

* * *

W czerwcu 1947, po śmierci Prezydenta Raczkiewicza, zorganizowała się „Koncentracja demokratyczna" w składzie: PPS., Komitet Zagraniczny w Londynie, Polski Ruch Wolnościowy — Niepodległość i Demokracja, Polskie Stronnictwo Demokratyczne, częściowo Stronnictwo Ludowe „Wolność" i grupa secesyjna ze Stronnictwa Pracy, która przybrała sobie nazwę Stronnictwa Pracy, zarząd na wychodźstwie.

„Koncentracja demokratyczna" jest tradycyjną polską konfederacją, tj. zrzeszeniem dla osiągnięcia chwilowych celów politycznych. Jednym z tych celów, wyraźnie niewypowiedzianych, jest przeciwdziałanie wpływom Stronnictwa Narodowego, podejrzewanego o niezbyt szczere ustosunkowanie się do reform społecznych i niewłaściwy stosunek do problematu ukraińskiego.

Pierwsze polityczne wyznanie wiary „koncentracji demokratycznej" datowane 30 czerwca, zostało ogłoszone w „Dzienniku Polskim" 2 lipca br. pod tytułem „Deklaracja porozumienia demokratycznego".

W deklaracji tej, wśród szeregu tez pięknych i słusznych, znalazły się rzeczy budzące zastrzeżenia. Mianowicie, po oświadczeniu, że „naczelnym naszym celem jest wolna, cała, demokratyczna Rzeczpospolita Polska", czytamy: „Cała — to znaczy"... to znaczy, myślisz czytelniku, Polska ograniczona na wschodzie granicą ustaloną przez traktat ryski.. Bynajmniej! Mylisz się! Czytamy bowiem dalej, że tylko „dopóki i o ile swobodnie wybrane przedstawicielstwo państwa polskiego nie postanowi innego rozwiązania tego problemu w przyjaznym porozumieniu z narodami zamieszkującymi ziemie wschodnie Rzeczypospolitej". **Dopóki i o ile!**

Jasne jest, że o ile mają się porozumiewać narody wolne, naprzód musi być złamana potęga Rosji, wznowiona działalność władz polskich na całym obszarze państwa, przedstawicielstwo sejmowe wybrane, a później dopiero może być mowa o urządzaniu porozumienia z sąsiadami. A zasiadając do przyszłych porozumień, musimy sami wiedzieć, jakiej linii granicznej chcemy. Lecz mówić dziś jednym tchem: chcę granicy ryskiej i jednocześnie mówić: chcę konferencji, która ma ustalać jakąś inną granicę, jest to poddawać w wątpliwość sens i słuszność naszego żądania granicy z 1939 r. Takie właśnie wrażenie sprawia ten ustęp deklaracji.

Poza tym, słowa deklaracji o polskiej granicy wschodniej i o granicy zachodniej były tak nieostrożnie sformułowane, iż wynikało z nich, że gotowiśmy walczyć o zachodnią, lecz będziemy rozmawiać o granicy wschodniej. Łatwo sobie każdy dośpiewa, jak realizacja takiej recepty wyglądałaby w życiu praktycznym.

* * *

Powyższe błędy i niedokładności deklaracji zostały wykazane w liście drukowanym w „Dzienniku" (d. 9 lipca). Dnia 18 lipca nastąpiła autoryzowana przez konferencję demokratyczną odpowiedź na postawione w liście zarzuty. Odpowiedź mówiła: „Z jednakową determinacją chcemy bronić obu granic"! Jednakże nie dawała jasnego i wyraźnego sformułowania, jak ma biec wschodnia linia graniczna.

Co gorzej, komentarz przyniósł nową formułę, mówiącą, że „zagadnienie litewskie nie jest wyłącznie problemem polskim... jest ono również — a nawet w o wiele większej mierze — problemem rosyjskim". Oczywiście, dopóki istnieją Sowiety i dzisiejsza Litwa sowiecka, pogląd ten jest słuszny. Lecz po usunięciu panowania Moskwy, o czym w komentarzu mowa, na jakiej podstawie Litwa ma należeć do zakresu spraw rosyjskich?

Jednym słowem, komentarz, mający poprawić deklarację, nie osiągnął swego celu, przeciwnie, sprawę pogorszył.

* * *

Pod wpływem dalszej krytyki i, pomiędzy innymi, zapytań ze strony „zarządu Związku Ziem Północno Wschodnich R. P., pojawił się w Nr 31 „Lwów i Wilno" (i w „Dzienniku" 17 sierpnia) nowy komentarz do deklaracji (i do komentarza Nr 1) podpisany oficjalnie przez cztery ugrupowania tworzące Koncentrację Demokratyczną. Ów komentarz Nr 2 wnosi jeden moment dodatni, mówiąc, że w przyszłym swobodnie wybranym przedstawicielstwie całej Rzeczypospolitej „winny być reprezentowane również ziemie wschodnie". Z tego wynika, że w okresie, jaki nastąpi po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, ziemie wschodnie będą wewnątrz Państwa Polskiego. O to właśnie chodzi. Wyjaśnienie o którym mowa załatwia sprawy, jeśli ma oznaczać, że owa reprezentacja ziem wschodnich w Sejmie — to mają być posłowie, wybrani na podstawie tego samego systemu wyborów terytorialnych, jaki obowiązuje w innych częściach Rzeczypospolitej. Czy właśnie w taki sposób utworzone przedstawicielstwo mają na myśli autorzy wniesionej poprawki — nie wiadomo.

W Sejmie roku 1919 Małopolskę przedstawiała grupa posłów wybranych dawniej z tejże Małopolski do parlamentu austriackiego. W plebiscycie śląskim ludność miejscowa była reprezentowana także przez tysiące urodzonych na Śląsku Niemców, którzy zjechali z Niemiec na chwile głosowania.

Słowa: „reprezentacja ziem wschodnich" nie mówią, czy reprezentacją mają być posłowie wybrani na tym terytorium, czy jakaś grupa specjalnie utworzona. Wobec tego czy nie wypadałoby, dla uniknięcia nieporozumień wynikających z ogólników komunikatu Nr 2, aby wydano komunikat Nr 3?

Pomówmy teraz o uzupełnieniu bodaj najważniejszym, zawartym w komunikacie Nr 2.

Komentarz mówi co następuje:

Sejm polski (w którym będą zasiadać przedstawiciele ziem wschodnich) w następnym etapie „rozwiąże w drodze przyjaznego porozumienia problemy ewentualnych sporów i linii granicznych wewnątrz dobrowolnego związku wolnych narodów na wschodzie".

„Dobrowolny związek narodów na wschodzie" — co to ma być? Taka formuła może również dobrze oznaczać konfederację państw międzymorza od Finlandii do Bałkanów wraz z Polską, państwami Bałtyku, Słowacją, Czechami, Rumunią, Węgrami („Central Eastern Zone") powiększoną o Ukrainę i Białoruś, jak i związek państw, zaczynający się nad Odrą a kończący krańcem Syberii nad Pacyfikiem. Oczywiście, pragniemy dobrych stosunków z Rosją, lecz czy mają się one wyrazić w przynależności Polski do związku narodów na wschodzie, do którego należałaby również Rosja?

Inaczej mówiąc, czy nazwa „związek narodów na wschodzie" jest nową nazwą dla starej koncepcji związku państw międzymorza, czy też nazwą programu federacji wielkorosyjskiej?

Nie jakaś złośliwość dyktuje nam te pytania, lecz przekonanie, że podstawą wszelkiego porozumienia jest pełne zrozumienie zobopólnych dążeń. Zarówno w interesie ogółu jak i w interesie koncentracji demokratycznej leży, by pytania powyższe otrzymały odpowiedź wyraźną.

Program polityczny oznacza chęć wykonania określonego czynu. Lecz jeśli z określeniem czynu, zmieszamy niejasne wizje dalszej przyszłości, wówczas frazes zaczyna górować nad myślą i wytworzony chaos może być użyty przez naszych wrogów jako pułapka na nas samych.

* * *

Doświadczenia polskiej deklaracji na konferencji pokojowej w Paryżu r. 1919 potwierdziły raz jeszcze, że błędne tezy polityczne, zrodzone z nieczystej chęci służenia Polsce, nawet po wielu latach zachowują własność szkodzenia celowi, któremu miały służyć.

„Potępieńcze swary", które dzieliły wielką emigrację po powstaniu listopadowym roku 1830, miały podłoże polityczne, polegające na sprzeczności między programem odbudowania Polski w granicach 1772 roku, wyznawanym przez Polskie Towarzystwo Demokratyczne, a dążeniem odzyskania niepodległości Królestwa Polskiego, utworzonego przez kongres wiedeński. Ten drugi program głosił książę Adam Czartoryski w przekonaniu, że jest bez porównania łatwiejszy do wykonania wobec względnie świeżych zobowiązań mocarstw, które podpisały traktaty wiedeńskie. W archiwach francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych i w innych zachowały się memoriały, w których Czartoryski uzasadniał swój program. Otóż, gdy w Paryżu w r. 1919 zaczęto się zastanawiać jaką Polska ma mieć granicę z Rosją, projektowi delegacji polskiej przeciwstawiano, między innymi, pogląd Czartoryskiego, z którego wynikało, że wschodnia granica Polski ma leżeć na Bugu!

Dobrze zorganizowana propaganda białej emigracji rosyjskiej zasypywała sojuszniczych mężów stanu memoriałami, zwalczającymi polskie pretensje do Wilna, a powołującymi się na program Czartoryskiego.

Bądźmy pewni, że w obradach w sprawie polskiej, jakie w przyszłości toczyć się będą na zachodzie, omyłki polskie dawne i dzisiaj robione, będą użyte przeciwko naszym żądaniom.

* * *

Żyjemy wśród warunków politycznych skomplikowanych, które zresztą będą komplikować się coraz więcej. Przede wszystkim ścierają się potężne dążenia do utworzenia centralnego rządu całego świata, przy czym idą do tego samego celu, jako konkurenci, jednocześnie i Rosja i Ameryka. Jest jesne, że świat pod rządami Moskwy wyglądałby inaczej niż pod rządami Waszyngtonu.

Dalej, istnieje projekt utworzenia federacji zachodnio-europejskiej, do której po usunięciu Rosji do jej granic właściwych, mogłaby może wejść Polska. Istnieje również projek utworzenia federacji lub konfederacji państw międzymorza. Poza tym w Polsce, mimo wszystko, możemy mieć jakieś lokalne pomysły autonomiczne. Projekty te w razie urzeczywistnienia będą między sobą powiązane. Nie wolno nam zgubić się w tych wszystkich prądach i dopuścić, byśmy wchodząc pod jakiś szyld współpracy znaleźli się pod dachem otwartego czy zamaskowanego imperializmu, lub w imię altruizmu dali się skusić zbyt daleko idącym ustępstwom. W chwilach decydujących musimy umieć wybrać! Dlatego winniśmy mieć dobrą busolę polityczną oraz przywódców, którzy by nas umieli prowadzić i doprowadzić.

Był okres — przed i w czasie pierwszej wojny, kiedy rolę sternika polityki polskiej pełniła PPS., stając się głównym organizatorem czynu zbrojnego, który doprowadził do odzyskania niepodległości. Kierownicy PPS potrafili przewidzieć bieg wypadków politycznych i nie odstąpili od wytkniętego sobie kierunku. Jednocześnie, ludzie dawnej PPS mieli moralną siłę zerwania z władzami własnej partii, gdy tego wymagała czystość politycznego programu.

Czy dzisiejsza PPS potrafi odegrać podobną rolę? Czy, w zupełnie innych warunkach działając, potrafi dostrzec co niesie przyszłość, znaleźć sojuszników i sposoby dojścia do celu? Czy potrafi unieszkodliwić tych, którzy pod jej firmą na zdrowym pniu niepodległości próbują zaszczepić trującą płonkę?

To są pytania, na które dać odpowiedź może tylko przyszłość.

Rakiety dalekiego zasięgu

Pierwszą rakietą, która zasięgiem swym przekroczyła najbardziej dotąd dalekonośne działo, armatę przeciwparyską z 1918 roku (128 km), był słynny „ślepograt" V 1.

Jak wynika z opublikowanych w literaturze fachowej danych, była to broń stosunkowo jeszcze bardzo niedołężna. Donośność jej wynosiła ledwo 200 km. największa szybkość lotu 160 m/sek. (580 km/godz. t.j. 360 mil/godz). Kaliber bomby 820 mm, ciężar 2150 kg. (z czego sam pocisk ważył 900 kg., a masa napędowa 600 kg).

Był to właściwie mały samolot bez pilota, którego silnik rakietowy typu spalinowego zasysał powietrze z otoczenia, przy czym system odpowiednich zaworów oddzielał — jak w każdym silniku spalinowym — chwilę wybuchu i wypływu (które w silniku rakietowym stanowią jeden okres działania) od chwili zasysania. Silnik dawał średnio 45 wybuchów na sekundę, to jest 2700 wybuchów na minutę.

Temperatura wybuchu wynosiła około 900 stopni C (dla porównania dodajmy, że temperatura wybuchu prochu w lufie waha się — zależnie od gatunku prochu od 2400 stopni do 3000 stopni), a wydajność silnika była bardzo mała, skoro przy tej samej szybkości lotu zużycie paliwa było dziesięć razy większe, niż by to miało miejsce przy normalnym silniku spalinowym. Jest to zresztą rzeczą zupełnie zrozumiałą. Jak bowiem wynika z teorii lotu rakietowego, silniki odrzutowe stają się ekonomiczne dopiero przy szybkościach, wielokrotnie przewyższających szybkości głosu (341 m/sek. przy temperaturze powietrza 15 stopni C).

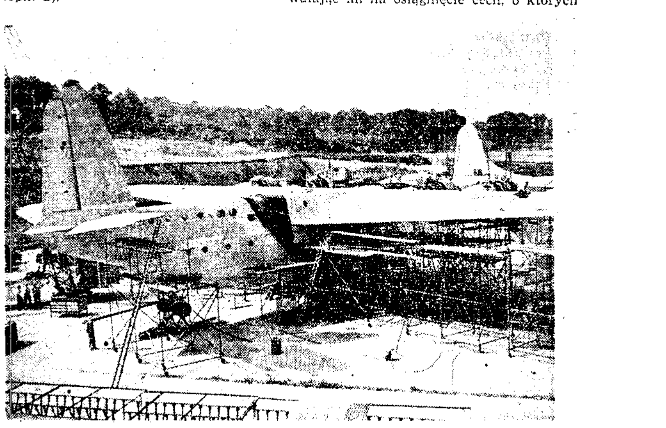

Budowa największego hydroplanu brytyjskiego mogącego przewozić 70 pasażerów

Jakkolwiek więc „ślepograt„ V 1 był typem niezmiernie pierwotnym i mocno jeszcze niedołężnym, mimo to odegrał on dużą rolę w rozwoju techniki rakietowej, był bowiem pierwszym dalekonośnym pociskiem z tej dziedziny, który okazał się pożyteczny w działaniu wojennym.

Rakieta V 2, której już nie ośmielono się nazwać „ślepogratem", była bardzo znacznym udoskonaleniem swej poprzedniczki i znacznym krokiem naprzód w rozwoju techniki rakietowej. Zamiast płatów samolotowych stabilizację rakiety zapewniała odpowiednio silna brzechwa i niewątpliwie również — jak to wynika z przedwojennych pomiarów aerodynamicznych, dokonanych w Polsce przez Zakład Balistyki i Instytut Aerodynamiczny Politechniki Warszawskiej — i gęsta struga wypływających z tyłu rakiety gazów spalinowych.

Rakieta V 2 była znacznie większa i cięższa od typu ją poprzedzającego. Kaliber jej wynosił 1700 mm, długość 14 m. W chwili wystrzału ważyła ona 13 ton (13000 kg), sam pocisk był jednak stosunkowo lekki, ciężar jego bowiem wynosił zaledwo 900 kg. Resztę wagi pochłaniał silnik i bardzo masywne zbiorniki, a zwłaszcza zapas paliwa, wynoszący 8400 kg, a więc 9.3 razy więcej, niż napędzany przezeń pocisk. Ten nieproporcjonalny stosunek masy napędowej do właściwego pocisku jest charakterystyczną i bardzo typową cechą silników rakietowych o dużych donośnościach. Po wypaleniu się paliwa ciężar rakiety spadał do 4 ledwo ton. Jasnym jest, że takie znaczne zmiany ciężaru stawiały bardzo trudne zagadnienia do rozwiązania dla zapewnienia stateczności pocisku w czasie lotu.

Paliwem był alkohol i ciekły tlen; cały przebieg spalania odbywał się więc bez udziału powietrza atmosferycznego.

Szybkości lotu rakiety były bardzo duże. Jeżeli nawet podana w literaturze liczba 1500 m/sek. wydaje się — w świetle nowych wyników amerykańskich nieco przesadzoną, to w każdym razie szybkość rakiety była bez wątpienia kilkakrotnie większa, od szybkości głosu, co tak znacznie utrudniało zwalczanie jej zarówno przez samoloty myśliwskie, jak i przez artylerię przeciwlotniczą.

Naciski jakie wywierały gazy spalinowe na dno rakiety (należy pamiętać, że w rakiecie „dno" znajduje się z przodu, a nie z tyłu, gdyż tylna część rakiety jest zakończona otwartą tuleją — „dyszą" — dla umożliwienia wypływu gazów) były rzędu 30 ton, co przy końcu palenia się nadawało rakiecie przyspieszenie 7 krotnie większe od przyspieszenia ciążenia ziemskiego, a więc przewyższające już wytrzymałość organizmu ludzkiego. Oczywiście w bombie V 2, gdzie nie było istoty żywej, nie miało to znaczenia, w samolocie rakietowym jednak jest to zasadnicze zagadnienie.

Mimo pozornie wielkiej liczby nacisku ogólnego, ciśnienia panujące w komorze spalinowej nie były bynajmniej duże, jeżeli bowiem uwzględnimy znaczny przekrój komory spalinowej, to okaże się, że nie przekraczają one w najlepszym razie kilku kilogramów na centymetr kwadratowy.

Spalanie się w tym silniku odbywało się bardzo szybko, toteż, pomimo tak wielkich ilości paliwa w stosunku do ciężaru samej rakiety, donośność jej była stosunkowo nie wielka, bo zaledwie 300 km. Fakt ten najlepiej może obrazuje, jak znaczne muszą być zapasy paliwa w rakiecie, jeżeli jej donośności mają być rzędu już nie setek, lecz tysięcy kilometrów. I tu jest pięta Achillesowa techniki rakiet dalekosiężnych.

Pomimo jednak tych stron ujemnych, podkreślić należy, że ten typ rakiety rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość, gdyż zapewnia możliwość lotu na bardzo dużych wysokościach, gdzie czerpanie powietrza z otoczenia nie jest już możliwe. Ponadto jej cechy stabilizacyjne, a zwłaszcza brak skrzydeł, czynią ją znacznie bardziej dostosowaną — niż rakieta typu V 1 — do lotu w tak zmiennych warunkach, jak gęsta atmosfera przyziemna i niezmiernie rozrzedzone jej resztki na wysokości 100 czy nawet 200 km.

Nie dziw więc, że zwłaszcza Amerykanie mocno zainteresowali się bombą V 2 i że badania i próby nad coraz bardziej ulepszonymi jej okazami, trwają nieprzerwanie. Jakkolwiek — ze zrozumiałych względów niewiele nas z tego dochodzi, mimo to wiadomo, że szybkości lotu najnowszych typów przekroczyły już 1000 m/sek., dochodząc do 1600 m/sek. (tj. 3600 mil/godz).

Ostatnio Amerykanie zastosowali ulepszone rakiety V 2 do badań stanu najwyższych warstw atmosfery. Odpowiednie samopiszące aparaty notują temperaturę, ciśnienie, skład chemiczny, promieniowanie kosmiczne i tym podobne cechy powietrza na poszczególnych wysokościach, a przemyślna aparatura radiowa pozwala na nadawanie odpowiednich sygnałów odpowiednio szybko po sobie, tak że aparaty rejestrujące wiernie notują na ziemi te wszystkie dane, jakgdyby to nie martwa aparatura, lecz żywy człowiek siedział w tej rakiecie. Ma to bardzo duże znaczenie dla poznania warunków fizycznych na tych dotąd nieosiągalnych dla człowieka wysokościach, a tym samym dla uzyskania danych, niezbędnych dla przyszłej budowy zarówno rakiet, jak i samolotów, mających poruszać się w tej części atmosfery.

Oprócz rakiet w dosłownym tego znaczeniu, napęd spalinowo-rakietowy znalazł zastosowanie również i w samolotach, pozwalając im na osiągnięcie cech, o których przy zwykłym silniku nawet marzyć nie mogły. Taki np. myśliwiec niemiecki Me 163 osiągał pułap 12.000 m. (40.000 stóp) w rekordowym czasie 3 minut. I jakkolwiek jego ogólny czas lotu wynosił zaledwie 5 minut, to jednak rzeczą jest jasną, że wielka ilość podobnych samolotów, zaalarmowanych na czas, może w niezmiernie krótkim czasie zaatakować z góry nadlatującą wyprawę bombową, zadając jej niezmiernie ciężkie straty.

Ten typ rakiet-samolotów, jak np. ostatnia konstrukcja Vickersa o szybkości lotu 900 mil/godz. (400 m/sek., a więc 117 stopni szbkości głosu) znalazł zastosowanie dla rozwiązania niezmiernie ważnego zagadnienia, które stoi po drodze dalszego powiększania szybkości lotu samolotu, a mianowicie pytamy jakie są wartości stabilizacyjne poszczególnych składników płatowca z chwilą, gdy jego szybkość osiągnie tę granicę.

Wiadomo bowiem doskonale, że w pobliżu szybkości głosu warunki opływu powietrza ulegają gruntownej zmianie, skutkiem czego niejednokrotnie elementy, które przy małych szybkościach lotu znakomicie zwiększają stateczność samolotu, przy szybkościach bliskich głosowi mogą działać wręcz odwrotnie, stając się wynikiem antystabilizacyjnym. Badania w tunelach aerodynamicznych są przy tych szybkościach trudne i nie całkowicie miarodajne. Toteż taki dalekokierowany samolot rakietowy o szybkości większej od głosu, z wbudowanymi aparatami kontrolno-pomiarowymi, pozwoli poznać bliżej prawa i zjawiska aerodynamiczne przy tej krytecznej szybkości.

Ma to duże znaczenie praktyczne, gdyż dopiero napęd rakietowy zezwolił samolotowi na przekroczenie potężnej bariery głosu, która dotąd stała na przeszkodzie powiększaniu jego szybkości. O ile bowiem działanie śmigła w pobliżu szybkości głosu zawodzi, o tyle napęd rakietowy — jak to już wspomnieliśmy — tym bardziej jest oszczędny, im samolot leci szybciej.

I tu należy zwrócić uwagę na często w prasie spotykane mylne twierdzenie, jakoby dalsze powiększenie szybkości było niemożliwe, gdyż nie zniesie tego organizm ludzki. Otóż ciało nasze wytrzymuje szybkości nawet znacznie większe bez żadnej dla siebie szkody: przecież wraz z ziemią pędzimy dokoła słońca z zawrotną szybkością 30 000 m/sek. i zupełnie tego nawet nie odczuwamy! Natomiast istotnie organizm ludzki nie znosi gwałtownych zmian szybkości, czyli dużych przyspieszeń i to jest powodem, dlaczego „zryw" samolotu rakietowego, a więc nabieranie szybkości nigdy nie będą tak wielkie, jak jest możliwe w martwej rakiecie.

Organizm ludzki nie wytrzymuje również i dużych sił odśrodkowych, jakie powstają przy gwałtownych zwrotach szybko lecących ciał i to jest powodem, dlaczego bardzo szybkie samoloty muszą być z natury rzeczy mało zwrotne.

Do tych dwu stron ujemnych samolotu rakietowego w stosunku do rakiety bez pilota, dodać należy i trzecią, znaną każdemu, kto miał przyjemność szybkim ślizgowcem płynąć po wzburzonej wodzie. Otóż im większa szybkość, tym silniejsze są wstrząsy, spowodowane przez falistość lub ruchy podłoża. A że atmosfera zawsze jest wzburzona i pełna prądów i wirów, toteż przed szybkimi samolotami stoi poważne zagadnienie, jak ochronić załogę ich przed niedogodnościami, wynikającymi z tych gwałtownych podrzutów.

W zamian za to jednak niewątpliwie samolot ma nad rakietą przewagę, że kieruje nim żywy człowiek, którego reakcja zawsze jest celowsza, niż najdoskonalszych nawet instrumentów.

Nie ulega więc wątpliwości, że w przyszłym boju oba typy — tak samolot rakietowy jak i bomba rakietowa — znajdą zastosowanie, odpowiednio do swych cech.

Dr Tadeusz FELSZTYN

Po Genesis - Exodus

Genesis Palestyny — tej sjonistycznej — to okres mniej więcej od deklaracji Balfoura z roku 1917, która przyrzekła stworzenie „siedziby narodowej" dla Żydów, do wybuchu drugiej wojny światowej; druga księga tych nowoczesnych ksiąg mojżeszowych — exodus — zaczęła się, gdy się druga wojna skończyła. Księga ta nie jest jeszcze napisana do końca. Jeszcze się ją pisze „nielegalną" emigracją, organizacjami terrorystycznymi, komisjami międzynarodowymi, rozpaczą, szantażem, antyszantażem, intrygami, walką podziemną i dyrektywami angielskiego Foreign Office.

napisał SZYMON WOLF

Główną osią sprawy palestyńskiej była zawsze sprawa emigracji do tego kraju. Ze sjonistycznego punktu widzenia to było i jest najważniejsze: wobec zagadnienia emigracji malały nawet takie zagadnienia, jak państwowość żydowska w Palestynie. Ciągły przypływ Żydów do Palestyny był i jest dla sjonistów **conditio sine qua non.** Ich przeważająca większość pójdzie na kompromis w każdym innym, chociażby nawet bardzo ważnym szczególe — z żądania nieskrępowanej emigracji nie ustąpi. Rewizjoniści szkoły Żabotyńskiego i ich jeszcze skrajniejsze odłamy mogą domagać się „Wielkiej Palestyny" z Transjordanią; idealiści z organizacji młodzieżowo-robotniczej „Haszomer Hacair" mogą propagować dwu-narodowe, żydowsko-arabskie państwo w Palestynie przedjordańskiej, ale wszyscy sjoniści — od skrajnej prawicy do lewicy — żądają swobodnej emigracji.

I właśnie tego Wielka Brytania nie chce im dać.

Ograniczenia emigracyjne zaczęły się względnie dawno — w okresie między dwoma wojnami — ale przez pewien czas administracja palestyńska, podlegająca angielskiemu Urzędowi Kolonialnemu, patrzyła na przekraczanie tych przepisów przez palce. Gdy Hitler doszedł do władzy w Niemczech i emigracja Żydów z tego kraju poczęła przybierać duże rozmiary, rząd brytyjski ograniczył emigrację jeszcze bardziej: Białą Księgą o Palestynie, ogłoszoną niedługo przed wojną przez „Colonial Office", na którego czele stał podówczas Malcolm Macdonald, syn Ramsaya. Sjoniści, ani Agencja Żydowska, która oficjalnie reprezentuje palestynocentryczne żydowstwo wobec rządu Wielkiej Brytanii, nigdy tej Białej Księgi nie uznali. Co więcej została ona odrzucona nawet przez komisję mandatową Ligi Narodów w Genewie, jako sprzeczna z duchem deklaracji Balfoura i mandatu palestyńskiego. By zrozumieć teraźniejszy stan napięcia między sjonizmem a Anglią należy się cofnąć do roku 1938, kiedy to rząd brytyjski ogłosił tę Białą Księgę, która nie tylko emigrację jednym cięciem ścieśniła, ale i w dodatku zabroniła kupowania przez Żydów ziemi od Arabów w Palestynie.

Gdy wojna wybuchła wszystko to zeszło naturalnie na drugi plan, a nawet w niepamięć. Żydzi palestyńscy stanęli wiernie u boku Anglii i mimo że „War Office" w pierwszych zwłaszcza latach zawieruchy niebardzo się spieszył z zorganizowaniem wojskowych oddziałów żydowsko-palestyńskich (z małym procentem także arabskich ochotników) w ostatnim okresie wojny biurokratyczne lody zostały przełamane i nawet Brygada Żydowska powołana do życia — pod dowództwem angielskim. Przedtem jeszcze dużo sjonistycznych ochotników z Palestyny oddało Brytanii duże przysługi — zwłaszcza w wywiadzie w czasie kampanii syryjskiej i we wszystkich kampaniach północno-afrykańskich. „Hagana", organizacja samoobrony, która przed wojną nie była uznana, w czasie wojny odegrała w Palestynie rolę nawet ważniejszą niż Home Guard w Anglii. Angielski wywiad — stary, doświadczony i sprawny „Intelligence" — wyćwiczył w swojej praktycznej szkole szereg młodych Palestyńczyków. Odpłacili się oni dobrze niejednym niebezpiecznym, dla Anglii korzystnym czynem. Jest to chyba paradoksem, że kierownicy obecnych ruchów terrostycznych, antybrytyjskich w Palestynie rekrutują się często z tychże dawnych uczniów angielskiej „Intelligence Service", a także i wyćwiczonych przez Anglików członków szturmowych jednostek.

W czasie wojny miał miejsce angielsko-sjonistyczny miesiąc miodowy, coprawda nieco zachmurzony niechętną sjonizmowi biurokracją ministerstwa wojny. Filosjonizm brytyjski zdawał się być niezachwianym faktem. A gdy po zakończeniu wojny Partia Pracy przygotowywała się do wyborów i objęcia władzy, kierownicy tegoż stronnictwa — obecnie ministrowie — na konferencjach partyjnych w przemówieniach swoich zapowiadali ostry zwrot prosjonistyczny w polityce Anglii. „Labour

Projekt podziału Palestyny na dwa niezależne państwa: arabskie i żydowskie, wniesiony przez specjalny komitet O.N.Z.

Trzy obszary białe — państwo arabskie, **trzy czarne — żydowskie oraz okręg Jerozolimy pod zarządem Narodów Zjed.**

Party" uchwaliła rezolucje, które mogły być uważane za stuprocentowo sjonistyczne.

Jakżeż to się więc stało, że właśnie gdy po raz pierwszy w historii Anglii Partia Pracy zyskała taką ogromną większość i objęła władzę znacznie mocniej niż za czasów sławnego Ramsaya Macdonalda, nastąpił zwrot w polityce palestyńskiej Anglii — nie ten spodziewany przez sjonistów, ale zwrot w przeciwnym kierunku: rygorystycznego stosowania Białej Księgi, ograniczającej emigrację do minimum w okresie, gdy setki tysięcy żydowskich „dipisów" w Europie, ocalałych resztek wymordowanych przez Hitlera milionów, postanowiły pożegnać się raz na zawsze z antysemicką Europą i pójść do Palestyny?

Odpowiedzi można szukać w typowej zygzakowatości i nieobliczalności empirycznej polityki angielskiej, która nigdy nie trzyma się doktryn; można jej też szukać w położeniu Bliskiego Wschodu jako zagrożonego przez Rosję Sowiecką; można za nią widzieć angielską chęć pozyskania sobie świata arabskiego, gdy tak ważny kraj jak Egipt wyzwala się z wpływów angielskich. Ale odpowiedź prawdziwa zdaje się leżeć raczej w sferze uczuciowej. Brytyjscy urzędnicy administracji palestyńskiej zawsze się odznaczali raczej tendencją antysjonistyczną i to nawet za rządów prosjonistycznych Wysokich Komisarzy, podczas gdy londyński Urząd Kolonialny zazwyczaj zachowywał neutralność. Ci urzędnicy angielscy administracji palestyńskiej po wojnie zaczęli bardzo skrupulatnie przestrzegać hamujących emigrację postanowień Białej Księgi. To wywołało wzburzenie w żydowskim społeczeństwie w Palestynie — chociażby z przyczyn czysto humanitarnych. Nie mogło ono zrozumieć, że Brytania, uważana zawsze — i z punktu widzenia historycznego: słusznie —za przyjaciółkę Żydów zamyka wrota Palestyny przed ludźmi, którzy przeszli piekło prześladowań nazistowskich i obozów koncentracyjnych. Oburzenie to zamanifestowało się w dwojaki sposób: protestami Agencji Żydowskiej z jednej strony i wojną podjazdową podziemnych organizacji przeciwko wojsku i urzędnikom brytyjskim w Palestynie.

W Palestynie istnieją dziś trzy militarne żydowskie organizacje: „Hagana" (samoobrona) z dziesiątkami tysięcy doskonale wyćwiczonych ludzi; radykalny „Irgun Cwai Leumi" (narodowa organizacja wojskowa); i jeszcze radykalniejsza tak zwana organizacja Sterna. Podczas gdy „Hagana", mimo posiadania oddziałów szturmowych jest posłuszna Agencji Żydowskiej i ogranicza się do pomagania t.zw. „nielegalnej" emigracji, zachowując swoje siły do chwili ewentualnej rozgrywki z Arabami, to „Irgun" i „Stern gang" (jak go Anglicy nazywają) zaangażowane są w terorystycznych akcjach przeciwko Anglikom, których nazywają „okupantami". Nie jeden żołnierz angielski, a także i nie jeden urzędnik stracił życie jako ofiara tego podziemnego terroru. Społeczeństwo palestyńskie na każdorazowy apel czynników angielskich, by położono kres terrorowi przez współpracę z armią i administracją odpowiada, że trudno jest tego wymagać, gdy wrota Palestyny są zamknięte, że można potępiać terror, ale nie można mimo to zaczynać walki bratobójczej z fanatykami, których metody musi się potępiać, ale których cele są celami całego społeczeństwa. Gdy Anglia — tak idzie rozumowanie dalej — spróbuje dotrzymać swego słowa i zezwoli na emigrację bezdomnych, to okaże się, że obie organizacje terrorystyczne, liczebnie małe, a doskonale zorganizowane i składające się bezsprzecznie z odważnych jednostek, stracą rację istnienia.

I to był początek tego błędnego koła, który gmatwał i jeszcze gmatwa sprawę palestyńską coraz bardziej. Zaczęła się angielska walka o prestiż. „Najpierw wy skończcie z terrorem"! Odpowiedź: „Najpierw wy skończcie z waszą antysemicką polityką". A wynik? Coraz-to dalej idące zaognienie, coraz mniej logiki, coraz więcej emocji. Niestety też coraz więcej nienawiści wzajemnej.

W Anglii wie się że nie byłoby doszło do tak poważnego zatargu, gdyby nie silna osobistość Ernesta Bevina. Obecny brytyjski kierownik „Foreign Office" przed rokiem oświadczył że „rozwiąże on zagadnienie palestyńskie chociażby miał zaryzykować przyszłą swoją karierę polityczną". Zabrał się do rozwiązywania z wielką energią i poświęceniem sporej dozy swojego czasu. Zdaniem Bevina, kwestia palestyńska jest jednym z najważniejszych zagadnień imperialnych. Ernest Bevin zaatakował ją właściwie jako ochotnik, z swojej własnej, a nieprzymuszonej woli, gdyż właściwym resortem do decyzji w sprawach Palestyny jest nie ministerstwo spraw zagranicznych, ale ministerstwo kolonii. Ale Bevin jest najsilniejszą indywidualnością w rządzie, posiada ogromny mir w kraju i zagranicą, ma silną wolę, sporo rozumu — więc bez zbytnich trudności zabierał on pierwszy głos w dyskusjach, pozostawiając Creech Jonesa, kierownika „Colonial Office" na drugim planie. Nie jest tajemnicą, że w czasie ostatnich — nie prowadzących do rezultatu — rokowań rządu z Agencją Żydowską — Creech-Jones był za podziałem Palestyny, ale Bevin był przeciw i Bevin wygrał, mimo że i inni jego koledzy rządowi uważali (i uważają) „partition" (podział) za najlepsze rozwiązanie. A gdy na antyemigracyjne propozycje Bevina Agencja Żydowska powiedziała „nie", widząc w nich koniec wszelkich snów o większości żydowskiej chociażby w części Palestyny, to wtedy Bevin zagroził, że jeśli nie pogodzą się z nim to odda on sprawę Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Groźbę wykonał, ale Komisja ONZ niedawno ogłosiła swój raport, który wypowiada się za masową emigracją do Palestyny i uważa podział tego kraju na dwa suwerenne państwa — żydowskie i arabskie — za najlepsze rozwiązanie.

Trzeba tu jeszcze dodać, że przed rokiem Wielka Brytania łącznie z Stanami Zjednoczonymi, wysłała specjalną komisję do Palestyny i obozów żydowskich w Niemczech. Komisja ta jednogłośnie uchwaliła, że 100.000 Żydów powinno być dopuszczonych do Palestyny w ciągu jednego roku.. Tak Anglia jak Stany przyrzekły zanim komisja rozpoczęła swe prace, że jej uchwały będą wykonane. Rząd amerykański stanął więc na stanowisku, że trzeba tę

(Dokończenie artykułu na str. 5-tej)

OBRACHUNKI Z ROMANTYZMEM

napisał TADEUSZ SUŁKOWSKI

Święta Salomea — Witraż Stanisława Wyspiańskiego

Romantyzm społeczny opierał się na prawach realnej polityki i wcale nie miał w sobie ani egotyzmu Gustawa, ani elegijności Anellego. Wyrastał z rzeczywistości europejskiej i dobrze zdawał sobie sprawę, jakie konsekwencje ustrojowe wynikają z francuskiej rewolucji lutowej i jej demokratyzmu jako zasady życia.

Rewolucja stawia kwestię robotników, Mickiewicz w „Trybunie Ludów" pisze artykuł o proletariacie i domaga się budowy miast i osiedli robotniczych, rewolucja przyznaje chłopu francuskiemu prawo głosowania. Mickiewicz przestrzega ich przed nieuczciwą scenerią wyborczą, która zwykła odwoływać cię do uczuć religijnych. Stwierdza, że religia, którą chłop nosi w sobie jest czystszą od tej, którą pragną mu zaszczepić w imię programu partyjnego. Polityka romantyzmu chce teraz włączyć Polskę w federację zachodnio-europejską, odpada spekulowanie systematu Towiańskiego, powstaje społeczny program legionu rzymskiego, oparty na solidaryzmie demokratycznym. Tak się ostatecznie kształtowała teoretycznie socjologia romantyzmu, który wyszedł z krytyki świata szlacheckiego, a uporządkował się w socjaliźmie „Trybuty Ludów". „Im mocniej — pisze Mickiewicz — Polska czuła i podzielała uczucia rodzinne Europy, tym była szczęśliwszą i ważniejszą, i bardziej oddalała się od Europy, tym widomiej słabła".

I tu jest miejsce, w którym zaczyna się dramat romantyzmu jako kierunku społecznego, bo właściwie wbrew samemu sobie romantyzm oddalał się od zachodniości europejskiej przez swoją wyłączność mesjaniczną.

Romantyzm społeczny wiązał Polskę z polityką powszechną, romantyzm mesjaniczny czynił z niej nadrzędność elitarną, romantyzm socjalny był demokratyczny, mesjanizm traktował Polskę w stosunku do reszty państw zwyżkowo i stanowo. Polska przez swe cierpienia miała się stać w tym programie osobowością czołową jak w „Przedświcie", z sejmem, który miał być organem Europy, jak w artykule Mickiewicza z końca 1832. Mesjanizm był ostatnią konstrukcją szlachetczyzny, której pojęcie przodownictwa na gruncie polskiego romantyzmu pokryło się z pojęciem politycznej elity romantyzmu niemieckiego. Miało to być w zamiarze polityką rozszerzoną, okazało się przeniesieniem sprawy z granic interesu powszechnego w zdarzenie jednostkowe, właśnie w politykę egotyzmu. Mesjanizm uciekł od rzeczywistości w rzutowanie historiozoficzne, tak jak Gustaw w swoją teorię miłosną, był powtórzeniem jego chorobowego kompleksu niższości, który szuka wyrównania w przeroście uprawnień, w owym polskim sejmie, który miał rządzić całą Europą.

W ten sposób przeoczono możliwość związania kwestii narodowej z umysłowością zachodnią, z tym wszystkim co się zaczęło dziać po rewolucji lutowej, a więc z rzeczywistością demokratyzmu jako normy ustroju i polityki wewnętrznej.

Tak więc sens orzeczenia, że problem polski jest problemem europejskim został zwężony do uczucia mistycznego, które nie szuka rozwiązania w obowiązującym realiźmie. Słowacki się żalił, że przed 1830 ideę republikańską nazywano anarchią, a później gdy wybuchło powstanie, nie mogło już być z tego powodu mowy o formach praw polskich. Tu tkwi źródło faktu, że romantyzm zrezygnował z planów społecznych i, że ograniczył się do odzyskania niepodległości na zasadzie wyłącznie słuszności moralnych, bez liczenia się z rzeczywistymi siłami. I to było jego ostateczne prawo, które mimo wszystkie skrzywienia mesjaniczne, ocaliło romantyzm i jego typ urzeczywistniania w tamtych warunkach państwa i wszystkich do niego upoważnień.

W tym sensie kierunek ten umotywował powstanie narodowe, nie tyle jako możliwości z dodatnimi wynikami, lecz właśnie jako owe racje moralne, a więc i bezwarunkowe.

Te dwa zasadnicze nurty romantyzmu, jeden oparty na realiźmie socjalnym, drugi na mesjanicznej, przerostowej propozycji, spowodowały zjawisko o budowie złożonej. Z jednej strony ucieczkę w mistykę, z drugiej — co bardzo znamienne — radykalny sąd nad społeczeństwem. Romantyzm bowiem w swej polityce wewnętrznej uderzał w romantyczną postawę szlachecką, bił sam siebie, ale w zasadzie nie domyślił tego do końca. „Nieboska" Krasińskiego zatrzymała się przed ostatecznymi wnioskami i przerzuciła w ostatniej chwili problem socjalny w wymiar eschatologii. Tak samo jak hr. Henryk w części IV, gdy nie mając już żadnych argumentów na obronę swej stanowej pozycji, ratował się przed sądem społecznym oświadczeniem, że „stąpa ku sądowi Boga". Henryka nie można traktować jako Hamleta, gdyż nie jest on analizą istoty bytu, ale krytyką dekadentyzmu szlacheckiego. W dodatku, Mickiewicz nie bez powodu zarzucał w lutowej prelekcji Krasińskiemu niewłaściwość stosunku do chórów rzemieślników.

Nie ułatwił rozwiązania tych rzeczy i fakt, że romantyzm zacieśniał się coraz bardziej w psychologii wspomnienia soplicowego, krzemienieckiego i opinogórskiego, w uczuciowej ocenie rzeczywistości, tak że „Księgi Narodu" weszły już w całkowite wyanielenie grupy i sytuacji.

Analiza społeczeństwa nie miała ośrodka wspólnego i zasadniczego. Obok ewangelizacji w „Księgach", postawa krytyczna w „Anhellim". Obok pozytywistycznego socjalizmu „Trybuny", szlachecki polonez Europy w „Przedświcie" Krasińskiego.

Romantyzm był pierwszym prądem literackim, który zetknął się z konsekwencjami rozbiorów. Zaczął od pierwiosnka, ale zaraz musiał się przenieść do niskiej celi u Bazylianów wileńskich. Świadomość klęski narzuciła mu politykę, która organizował swym najważniejszym elementem, bo uczuciem, a więc tym, co powiększa serce, ale osłabia dyplomację.

Z tego samego powodu zamiast włączyć, jak chciał, sprawę społeczną w uniwersalizm europejski, popadł — w wyłączność mesjaniczną. Zamierzał przebudować charakter socjalny i polityczny państwa, a stworzył filozofię nieszczęścia, w której starczyło siły tylko na decyzję aktu zbrojnego. Realizm w sztuce zastąpił emocją, symbolem i był impresjonizmem, zanim ten zjawił się historycznie. Konstruował Polskę przyszłą, a wykończył jedynie obraz jej śmierci. W pejzażu Irydiona, pełnym latających i jęczących aniołów, mogił i krzyżów, odbył się, jak dawniej włoski dramat Dąbrowskiego, tak teraz mazowiecki Chłopickiego i Traugutta. Moralna racja polityki romantycznej została wykonana.

II.

Pozytywizm wszedł w pejzaż Irydiona. Chciał go zabudować kamieniami fabrycznymi, zasypać azotem rolniczym i ująć w rygor organicznego rzemiosła. „Naród upadł z własnej winy, powstać może własną pracą, własnym rozumem i duchem".

Tak Szujski porządkuje historiografię stańczykowską, a „Przegląd Tygodniowy" zamiast o mesjanizmach pisze o komornem i przemyśle. Nie romantyzm Wallenroda, ale handel Wokulskiego i jego grube pieniądze zarobione w spółce z przedsiębiorstwami rosyjskimi. Tylko, że ten Staś Wokulski był kupcem z fachu, a romantykiem z zasady życia. Jest egotycznym Gustawem w miłości z Łęcką, a Konradem społecznym w powstaniu, w którym brał udział, w swej filantropii i ostatecznej ucieczce od świata. Rzecki i jego pamiętnik, to przyszła postawa Wokulskiego, gdyby się ten nie wysadził w powietrze, prawie jak hr. Henryk z „Nieboskiej". Bonapartyzm Rzeckiego i Stasia to dno „Lalki", utworu, który wbrew teoretycznym zamiarom kierunku skompromitował realizm pozytywizmu.

Podobnie i Sienkiewicz skończył na rycerskim romantyźmie XVII w. i na urwanej przez śmierć powieści o Legionach Dąbrowskiego, którą dokończyło w sierpniu 1914 r. samo życie. Pozytywizm wyszedł z postawy rozwiązania ustroju w granicach autonomii, doszedł do romantycznej polityki niepodległości.

Taka była odpowiedź artystycznego, a więc faktycznego pozytywizmu na historiografię Szujskiego i jego manifest, głoszący, iż „dzisiaj, po skończonym uwłaszczeniu przyszło do tego, że konspiracja ma absolutną niesłuszność, strona normalnej organicznej pracy — absolutną słuszność". Sprawa chłopska Ślimaka i szlachecka Korczyńskich z „Nad Niemnem" mimo że postawiona podobnie jak w „Trybunie Ludów" nie została zupełnie wyjaśniona, a programową ekonomię i ugodowość „Czasu" zastąpiło właśnie znowu prawo wojny w „Trylogii".

III.

Młoda Polska, jako system estetyczny zerwała z użytkowością pozytywizmu i na miejsce spekulowanej historiozofii romantycznej postawiła czystą psychologię twórczości.

Społecznikowanie zostało w programie zastąpione niezależnością sztuki i amoralizmem Przybyszewskiego. To jest romantyzm emocji, w który wchodzi nowe skomplikowanie artystyczne i społeczne. Bo właśnie aspołeczne „Życie" Szczepańskiego drukuje „Warszawiankę" Wyspiańskiego, a estetyzująca „Chimera" — odkrywa Norwida i jego sztukę dydaktyczną.

Tak Młoda Polska weszła z romantyzmu egotycznego w romantyzm socjalny, a więc w to, na czym skończyli Prus i Sienkiewicz. Sprawa robotnicza i chłopska z „Nieboskiej" i „Trybuny", z „Lalki" i „Placówki" wkracza do pisarstwa Żeromskiego i znowu staje się pozytywistyczna jako zagadnienie, i romantyczna, bo nie można jej uporządkować i przeprowadzić. Pesymizm tego realizmu to rezultat zderzenia się państwa jako planu moralnego i rzeczywistości, która była inna.

Tą klęskowością polityczną i osobową tłumaczy się fakt, że miejsce owej czystej psychologii człowieka zajęła psychologia działacza, który zawsze kończył źle, bo zawsze planował z nadwyżką, właśnie romantycznie. Był osobowością zależną nie tyle od prawdziwego życia, co od poglądu pisarza na świat, w którym ośrodkiem było nieszczęście, a wynikiem-pesymizm. Ani Judyma, ani Nienaskiego czy Joasi nie można więc rozważać tak jak się tę rzecz robi dotychczas.

To są kreacje światopoglądowe, wyjaśniające gatunek moralności twórcy i trzeba im współczuć jako zdarzeniom ludzkim, ale nie uczyć się od nich metody, bo ostatecznie nie dali sobie rady ze społecznością. Ta ich praca była w swym toku fatalnością, a nie spokojną zgodą na ciężkie życie i na jego, mimo wszystko, bezsprzeczną radość.

Młoda Polska miała świadomość tego zjawiska. Powstaje bowiem walka o społeczeństwo ze społeczeństwem. Nie wystarcza już statyczny historyzm Matejki, w którego uderza Witkiewicz, poddaje się rewizji neurastenię czułości narodowej, babranie się w próchnie grobów wawelskich, całe to bałamuctwo z domkiem, z dworkiem i własnymi brudami. „Wesele" kompromituje ten typ patriotyzmu szlacheckiego, który stał się histerią emblematu, obrazeczków i scen narodowych.

„Wyzwolenie" rozbija patetyczną, grobową postawę Matejki, sentyment polityczny i to co Artur Górski nazwał wówczas „zaduchem kruchcianym" i „faryzeizmem społecznym". Wyspiański realista wprowadza Chochoła, Wyspiański romantyk zamyka „Noc Listopadową" Łukasińskim, a więc znakiem rewolucji jako nieodwołalności taktycznej. I te dwa składniki, Chochoł ze swym znaczeniem rozpadu socjalnego i Łukasiński ze swym sumieniem romantycznego postulatu wojny wyznaczają granice rzeczywistości, w którą Wyspiański wprowadza Korę jako powrót życia.

W lutym 1905 do mieszkania Wyspiańskiego na Krowoderskiej wszedł Józef Piłsudski.

IV.

I ten pokój z widokiem na Błonia w śniegu był miejscem, w którym spotkał się, choć mało się o tym mowi, romantyzm sztuki ze swą realną formą życia. Legiony są zamknięciem III części „Dziadów". Ich decyzja militarna, określająca oczywistość Polski jako państwa, uczyniła nareszcie z romantycznej racji wojny rację faktu i w tym ich realizm nie tylko wojskowy, ale i polityczny. „Być może, jestem romantykiem — mówi Piłsudski w grudniu 1914 — być może, że dlatego, że nigdy nie byłem zwolennikiem pracy organicznej, wszedłem w tę wojnę. Ale porwało mnie w niej coś wielkiego i to, że otworzyła się możność czynu polskiego". Romantyczne prawo wojny okazało się jedynym natychmiastowym rozwiązaniem, bo właśnie przygotowanym wbrew pozytywizmowi czynnym wkroczeniem w wypadki. Jednocześnie był to moment, w którym niezałatwiona sprawa wnętrza państwowego ani przez historyczny romantyzm, ani przez pozytywizm, ani przez Młodą Polskę utrudniła Piłsudskiemu pracę i wyosobniła go poza społecznością, związaną bardziej z minimalizmem krakowskich Stańczyków niż z instynktem prawa moralnego.

Romantyzm, nie załatwiwszy ustroju, stał się i to w chwili najważniejszej przeszkodą dla konieczności politycznych. „Nie stał za nami naród — pisze w 1915 — nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej „neutralności" jakiejś dla siebie od kogoś „gwarancji".

Stanisław Wyspiański — Apollo rażący gromami pomoru

I to jest pierwszy kryzys romantyzmu w Piłsudskim. Dramatem Piłsudskiego była nie rzeczywistość polityczna, ale właśnie rzeczywistość społeczna, której prawa życia były skąpsze od doskonałości jako programu. Wyszedł z socjalizmu i tak jak Mickiewicz odszedł od niego z tych samych powodów, dla których tamten nie mógł się zgodzić ze stanowiskiem Lammenais'go, nie doceniającym wagi narodowości.

Ale moralność postulowana stała się i nadal wyobrażeniem, a nie treścią społeczeństwa. Romantyzm planu spowodował, że w Polsce „nim powstał jej rząd, zjawił się na świat jej żołnierz", jak napisze w liście do rektora Brudzińskiego, realizm socjalny zaprzeczył możliwościom moralnym, które się przewidywało i które zastąpił „zawiścią partyjną", jak powie w maju 1926. Przekonanie, że społeczeństwo dorówna swą wartością faktowi niepodległości okazało się nierzeczywistym. „Myślałem, że wraz z materialnym odrodzeniem Polski i dusza polska odradzać się zacznie".

Był to drugi, ale już decydujący kryzys romantyzmu w Piłsudskim. I ten właśnie kryzys spowodował krytyczną postawę wobec społeczeństwa, taką jak u Słowackiego, u którego ironia posiada taki sam sens co satyra, pesymizm i samotność w pisarstwie i osobowości Piłsudskiego od r. 1926.

Ta data powinna być uznana za istotne załamanie się u nas romantyzmu. Potwierdziła bowiem najmocniej, że powszedniości społecznej nie można rozwiązać projekcją romantyczną. Stąd tak bardzo ostry przebieg tego procesu w Piłsudskim. Ostateczną racją została u niego postawa moralna i tuż za nią konieczność atakowania błędów w sposób naturalistyczny, w którym o sile miłości świadczyła ilość gniewu. Wytworzyła się sytuacja znowu typowo romantyczna, konflikt jednostki prowadzącej naród z samym narodem. Każdy akt był bardziej moralistycznym uderzaniem w zło niż organizowaniem rzeczy sposobem polityki.

To było dnem psychologii Piłsudskiego, a zarazem typem jego metody jako wychowawcy, realisty w rozpoznawaniu grzechu, romantyka w maksymaliźmie żądanego skutku.

Dlatego w pismach do czasu odzyskania niepodległości przeważała epika, od 1918 element emocjonalny, badający zjawiska raczej na prawach moralności społecznej, a nie socjologii ustrojowej. Piłsudski musiał dwa razy odzyskiwać niepodległość polityczną i raz wewnętrzną i to spowodowało, że jego postawa tkwiła bardziej w stwierdzaniu i umotywowaniu faktu, że nareszcie jesteśmy, niż w planach i osiągnięciach socjalnych. „Ja myślałem, że wolność to już będzie dosyć a to jest tylko tyle ilu ich poległo". Z tego powodu Wierzyński najcelniej określił ten czas nie od strony naszej radości z odzyskanego państwa, ale od strony kryzysu programu idealistycznego, który się całkowicie nie mógł wypełnić. I nazwał to „wolnością tragiczną". I dlatego także śmierć Piłsudskiego miała w sobie tyle przerażenia moralności, której nie umieliśmy podołać.

Idealizm romantyczny urzeczywistnił swoje prawo niepodległości. I to jest jego słuszność bezsporna, która nie zważając na warunki rzeczywiste, dobrze że więcej etyki przyznaje zamiarom niż siłom. W tych powodach leży konieczność powstania listopadowego, styczniowego, sierpnia 1914 września 1939. Tutaj zaczyna się etyczny mus powstania warszawskiego i pracy wojennej wszystkich oddziałów armii polskiej na obczyźnie. Ale ten sam romantyzm sprawny w takich okolicznościach, zawsze utrudniał epickie uporządkowanie świata w momencie powrotu do konkretnych form ustrojowych. Okres niepodległości to już czas koniecznej racjonalizacji i uspokojenia procesu społecznego.

Życie kulturalne w Kraju

O PEWNEJ NAGRODZIE

Jarosław Iwaszkiewicz otrzymał nagrodę „Odrodzenia" w sumie 250.000 zł. W związku z tym szereg dziennikarzy na łamach tego pisma występuje z ostrym sprzeciwem, uważając, że nagrodzony pisarz jest za mało „postępowy" (czytaj: prorządowy). Należało według nich nagrodzić jakąś wschodzącą gwiazdę, która lepiej dostosowała by się do wymagań stawianych pisarzowi w Kraju.

Tajemniczy J.P. Zajączkowski w „Odrodzeniu" z dn. 31 sierpnia br. w artykule pt. „Dobre nagrody i dobre obyczaje" pisze: „Więc Iwaszkiewicza wcale nie należy likwidować. Trzeba go cenić, można od niego się uczyć. Tylko nie trzeba go było nagradzać".

Dobre nagrody, lecz złe obyczaje!

POLSKA ORIENTALISTYKA

Na zjeździe orientalistów polskich, który odbył się w początkach tego roku zobrazowano dorobek międzynarodowy w tej dziedzinie. Okazało się, że wydano 33 prace z tego zakresu.

DZIECI ŁUŻYCKIE W POLSCE

Akademicki związek przyjaciół Łużyc zaprosił 35 dzieci łużyckich na wczasy w Jarocinie.

ŻYDOWSKI ZWIĄZEK KULTURY I SZTUKI

Powołano w Kraju do życia żydowski związek kultury i sztuki mający na celu popieranie twórczości artystycznej polskich Żydów.

KLEJNOTY SKARBCA WAWELSKIEGO

Skarbiec wawelski w czasie „miłościwie nam panującego" gubernatora Franka, został wywieziony do Niemiec. Nie odnaleziono do tej pory całego szeregu cennych przedmiotów, między innymi zaginął złoty i emaliowany kielich, wysadzany drogimi kamieniami.

Odzyskano z powrotem dwie średniowieczne szkatułki z których jedna jest cennym wyrobem saraceńskim. Druga ze szkatułek jest związana z osobą królowej Jadwigi i zrobiona została w pierwszej połowie XIV wieku we Francji.

DAWNY KRAKÓW

W zabytkowej kamienicy przy ul. Św. Jana w Krakowie otwarto wystawę „Kraków dawniej i dziś".

ZMIANY W SYSTEMIE SZKOLNICTWA

W Toruniu odbywają się kursy przygotowawcze w ramach upowszechnienia nauki. Przeznaczone są dla młodzieży pochodzenia włościańskiego. Może w nich uczestniczyć młodzież od 20 do 35 lat, która uzupełniła wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej pracą samokształceniową. Po rocznym kursie uzupełniającym uczestnicy mogą zapisać się na pierwszy rok uniwersytetu. Nauka jest bezpłatna, a młodzież przed zapisem na naukę musi przejść egzamin eliminacyjny.

ODKRYCIE CMENTARZYSKA

Kilkunastu pracowników naukowych Zakładu prehistorycznego Uniwersytetu Łódzkiego odkryło pod Łutomierskiem (powiat Łaski) doskonale zachowaną część osady z przed 1000 lat przed Chrystusem (z tzw. epoki trzcinieckiej). Ten sam zespół odkopał w okolicach wsi Jasienna-Klekot cmentarzysko kurhanowe. W wielu wypadkach groby okazały się podwójne, co każe przypuszczać, że w okresie sypania kurhanów istniał obyczaj pozbawiania życia wdów i grzebania ich wraz ze zmarłymi mężami.

KRAKÓW NAGRADZA

Zbigniew Drzewiecki otrzymał nagrodę muzyczną miasta Krakowa. Nagrodę plastyczną przyznano prof. Akademii Sztuk Pięknych Ignacemu Pieńkowskiemu, a nagrodę literacką, pisarzowi i czołowemu dziś w kraju krytykowi Kazimierzowi Wyce. Nagrody wyniosły po 75.000 zł.

WYMIANA „WCZASOWICZÓW"

Do Polski przybyła grupa wypoczynkowa złożona z 40 górników, 15 hutników i 20 włókniarzy jugosłowiańskich. Przemysł polski uzyskał w Jugosławii 30 stałych miejsc miesięcznie dla górników. Prócz tego przebywa obecnie w Ładku-Zdroju 25 studentów jugosłowiańskich.

BEZPŁATNE KONCERTY POPULARNE

W Warszawie we wszystkich parkach miejskich odbywają się publiczne i bezpłatne koncerty symfoniczne.

WAŻNE DLA PISARZY „WAHAJĄCYCH SIĘ"

Czeski literat Jerzy Weil tak pisze o życiu pisarzy krajowych: „Pisarz polski ma stanowisko godne pozazdroszczenia. Wybitnych pisarzy jest bardzo mało (to prawda! przyp. red. O.B.). Honorarium ustalono na 15% (?). Ważne jest, że właściwie nie istnieje współzawodnictwo (a szkoda! przyp. red. O.B.), gdyż przekładów prawie się nie wydaje. A prócz tego pisarze polscy posiadają liczne inne przywileje. Mieszkają w przepięknych(!) mieszkaniach (chyba tylko Jarosław Iwaszkiewicz w swoich Stawiskach! przyp. red. O.B.), za które płacą minimalny czynsz. Posiadają stołówki ze wspaniałymi kuchniami(!!!), posiadają swoje kluby, uzdrowiska, pensjonat w Sopocie. Mogą drukować **WSZYSTKO** (na prawdę? przyp. red. O.B.) co napiszą, krytyka oryginalnej twórczości nie jest surowa (jak dla kogo! przyp. red. O.B.) nikt im nie dyktuje co i jak mają pisać (!). Dysponują absolutną wolnością przy równoczesnym dobrobycie...".

Rozmyślania egzystencjalistyczne

Rozum jest chłodny i bierny. Zmysły są gorące i natarczywe. Gdy zabraknie więzów rozumu i myśli, rozsypują się paciorki duszy, jak z zerwanej nitki korale. Obrazy przestają się kojarzyć według zwykłych praw i zaczynają gonić się dowolnie jak w koszmarnym śnie. Uczucia tracą ciągłość, związek i głębię. Za to zyskują na gwałtowności i żarze. Nienawiść, która dzieli, zastępuje miłość, która łączy. Przywiązanie staje się niewolą a wolność anarchią.

Wrażenia zmysłowe obejmują panowanie i stają się miarą szczęścia i nakazem postępowania. Płaty mózgu zamieniają się w skomplikowane czułki. Kaprys zaczyna rządzić światem. Chwila jest wszystkim. Dziś nie ma jutra. Nikt nie jest podobny do siebie. Ludzie porozumiewają się przez przypadek — świat zamyka się w zasięgu wyciągniętej ręki i niezamroczonego spojrzenia. Przekora jest ostatnią redutą rozsądku. Słowo „zamiar" zostaje skreślone ze słownika, sztuka zamiera. Potem idzie władztwo ślepego chaosu. Ślepego, bo „bez oczu ... — lśniących poprzez przejrzystą tkaninę ładu" (Goethe).

Świadomość zapada w stan nieustającego durzenia. A gdy zbuntowany duch powraca ją na chwilę do przytomności, wypuszcza się na niego narkozę. Alkohol jest demokratyczny. Równouprawnia wszystkich do poziomu rozkosznej i rozkoszującej się bestii. Emancypuje nawet kobietę. W takim świecie matki karmią swe dzieci koniakiem.

Zwoje nerwów zaczynają zanikać i rozdymają się żyły. Powstaje pokolenie ludzi krwistych. Samo patrzenie na nich przyprawiać będzie o artretyzm jak niedosmażony befsztyk.

Rząd wrażeń rodzi okrucieństwo, a okrucieństwo rodzi nowe i stępia stare wrażenia. Nieszczęście innych jest szczęściem okrutnych. A wszyscy jako świadkowie uczestniczą w tym bolesnym upojeniu, pomimo, że wzdryga ich to widowisko, od którego nie mogą oczu oderwać. Zmniejsza się do zera odległość od pieszczoty do ciosu, czułość staje się formą szyderstwa, a szyderstwo przejawem ukrytego sentymentalizmu. Na różach szczepi się orchidee. Człowiek ze wzruszenia gotów jest popełnić zbrodnię. Kanalie zajmują miejsce świętych.

W ten sposób świat zacznie kroczyć od nicości do nicości. Każdy będzie ją miał za sobą i przed sobą. A pustkę wewnętrzną wypełni wrażenie. Będzie w nim więcej bólu niż przyjemności, bo ból jest silniejszy, a w chaosie rządzi siła. Wreszcie świat ten doczeka się swego końca. Będzie on podobny do potwornej migreny.

On.

Nieznany przyjaciel Polski

Przeglądając żałosne resztki bogatej niegdyś biblioteki b. posła R. P. w Atenach, Wł. Schwarzburg-Guentera, natrafiłem na broszurkę w języku francuskim, która zwróciła moją uwagę swoją kartką tytułową.

Broszura nosi tytuł: „Extraitss de la Corréspondence de M. Dutrône avec M. le President Capodistria". (Wyciągi z korespondencji p. Dutrône z p. Prezydentem Capodistria). U góry widnieje napis: Au profit des Polonais — na korzyść Polaków — a pod nim winietka, wyobrażająca dwa skrzyżowane sztandary, trójkolorowy francuski z gallijskim kogutem, otoczony wieńcem laurowym i z napisem: Liberté - Ordre Public (Wolność - Porządek Publiczny), oraz polski z Orłem i Pogonią i słowami: Liberté, Integrité, Independence, (Wolność, Niepodzielność, Niepodległość). Pomiędzy sztandarami gwiaździsta korona, otoczona promieniami a pod nią trzy nazwiska — Kościuszko, Dąbrowski, Poniatowski.

Książeczka została wydana w Paryżu w r. 1831, a więc w roku Powstania Listopadowego u E. Cassin, rue Taranne Nr 12 i miała na celu, jak nam wyjaśnia podtytuł „naświetlenie polemiki powstałej z okazji ostatnich wypadków w Grecji". Wypadki te, to zabójstwo w r. 1831 pierwszego prezydenta wskrzeszonej Grecji, Capo d'Istria, przez braci Mavromichalis. Na tym tle powstała polemika pomiędzy Dutrôn'em a drugim wybitnym przyjacielem francuskim Greków Eynard'em, przyjacielem zamordowanego prezydenta.

Wskazówki co do jego osoby daje już pierwsza strona tej ciekawej książeczki. Jest bowiem ona dedykowana gen. Lafayette, Prezesowi Centralnego Komitetu Pomocy Polakom. W końcu tej dedykacji pisze Dutrône: „...Sprawa która ostatnio upadła w Polsce, jest tą, która, zdawało się nam, zatriumfowała w Helladzie toteż pozwalam sobie wyrazić nadzieję, iż nasz Komitet zezwoli sprzedawać pod swoją opieką i na korzyść Polaków ten wyciąg mojej korespondencji, gdyż Wolność jest solidarna we wszystkich punktach kuli ziemskiej". Dutrône podpisuje swą deklarację jako sekretarz Centralnego Polskiego Komitetu.

Poszukiwania dalszych szczegółów co do osoby Dutrône'a w bibliotekach i archiwach Aten dały mi bardzo nikły materiał. Na szczęście podzieliłem się tymi kłopotami z moim przyjacielem, p. Pappas. Spiros Pappas, b. urzędnik greckiego MSZ, **historyk i dziennikarz**, wielbiciel Napoleona, jest też, obok drugiego Greka, p. Theodotos'a, gorącym przyjacielem Polaków.

S. Pappas, mający dziś już prawie 70 lat, od dzieciństwa wychowany we Francji i mówiący po grecku z akcentem francuskim, zupełnie głuchy i tracący wzrok — jest mimo to człowiekiem o niespożytej energii i młodzieńczej pogodzie ducha. Jest on ponadto chodzącą encyklopedią. W stosie papierów odnalazł on wycinek z „Journale de Debats" z dn. 3.IX.1933 z artykułem Adrien Blanchet pt. „Zapomniany Filantrop, Dutrône - Grekofil, przyjaciel Polaków i wszystkich uciśnionych". Artykuł ten dał mi możność dopełnienia moich skąpych informacji o tym przyjacielu Polaków sprzed stu lat.

Henryk-Filip-August Dutrône urodził się w r. 1796 lub 97, gdyż w swym „Wyznaniu wiary", wydanym w Amiens w r. 1834 pisze iż w czasie 100 dni Napoleona miał 18 lat. Ojciec, sędzia śledczy w Caen, wychował syna „w ideałach wolności i uczuciach ludzkości". W ostatnich dniach epopei napoleońskiej widzimy go w armii, broniącego granic Ojczyzny. Po drugiej restauracji oddaje się studiom, poświęcając cały wolny czas filantropii. Jest on członkiem Tow. Powszechnego Nauczania, Komitetu Sierot, Kom. Więziennego, Kom. Obalenia Traktatów, Tow. Nauk Moralnych i Politycznych, i wielu innych. Wśród kolegów jego w tej pracy widnieją takie nazwiska, jak Benjamin Constant, de Staël, Lafayette, de Broglie, Carnot, Ed. Blanc, Guisot... Uczęszcza on poza tym na wydział prawny i zostaje wkrótce doktorem praw a jako członek paryskiej palestry walczy przeciwko, jak sam powiada, „zacofanym i arbitralnym żądaniom Restauracji".

Jest właśnie w trakcie przygotowywania doktoratu literatury i nauk politycznych, kiedy postanawia poświęcić swe osobiste sprawy dla Grecji, która w tym czasie po latach ciężkich walk odzyskuje swą niepodległość. Rzuca więc niedokończone studia i wyjeżdża w r. 1827 do Hellady, aby się poświęcić organizacji oświaty w nowopowstałym państwie. W parę miesięcy po przyjeździe do Grecji zostaje on mianowany przez prezydenta Capo d'Istria kapitanem Sztabu Głównego i otrzymuje zadanie zorganizowania szkolnictwa powszechnego w młodej armii greckiej.

Pisze i wydaje cały szereg notatek o nauczaniu, zwracając szczególną uwagę na konieczność wyszkolenia kadr podoficerskich „stanowiących duszę armii".

Wkrótce jednak powstają jakieś nieporozumienia pomiędzy Dutrône'em a prezydentem Capo d'Istria i jego najbliższym otoczeniem, czego echem jest wspomniana wyżej broszura, i nasz filantrop opuszcza Grecję w r. 1830, wracając do Francji, już po rewolucji lipcowej.

Poruszyłem obszerniej ten grecki okres życia Dutrône'a gdyż, jako najbardziej znany, charakteryzuje on jego osobę. We Francji po latach reakcji zastaje Dutrône przyjazną dla swego wolnościowego charakteru atmosferę. Widzimy go wkrótce na dworze królewskim w Amiens jako Prezesa Sądu Karnego.

Pomnik Polaków poległych w Missologhi w r. 1824 — 25

Projektował art. mal. Henryk Uzlemblo. Wykonał art. rz. Apefghis.

W tym okresie pisze szereg pięknych listów do swej matki. W jednym z nich, w odpowiedzi na jej rady żeby wreszcie założył własne ognisko domowe pisze iż „myśli jego są zajęte sierotami, pogorzelcami, więźniami, uciśnionymi, niezależnie od tego czy są to Grecy, Francuzi, kolorowi czy murzyni".

Wkrótce wybucha powstanie listopadowe i Dutrône, wierny swym zasadom, oddaje się całkowicie pomocy walczącej o swą niepodległość Polsce, a następnie opiekuje się polską polityczną emigracją. Organizuje Komitet Polski we Francji, na czele którego staje gen. Lafayette.

Pomimo iż społeczeństwo francuskie darzy Polskę i Polaków gorącą sympatią, działalność Dutrône'a nie wzbudza zachwytu w ówczesnym rządzie. Czuje on to doskonale. W liście do matki z dn. 25.XI.1833 r. pisze: „...na balu w Tuilleriach Kr. Chartres (starszy syn Króla Ludwika-Filipa) powiedział mi że napisze do Ministra Pieczęci ażeby mnie powołał do Paryża, na co powiedziałem mu że odprowadzałem Lelewela i że Minister nie lubi mnie za to i że skorzysta z tego pretekstu ażeby odmówić. Książe odpowiedział: „Krok ten, opinja Pana — wszystko to mnie nie obchodzi a raczej mi dogadza".

Następnego dnia Dutrône, wierny swej prawności, składa sekretarzowi księcia notatkę, w której podaje iż uważa za konieczne, nim książe zrobi jakieś kroki na jego korzyść, podać mu wszystko co powiedział on lub zdziałał, a co może go dyskredytować w oczach dworu. W p. 3 notatki pisze: „W końcu przed dwoma miesiącami, jako v. Prezes Komitetu Polskiego w Pikardii wiozłem w swym powozie bez owacji ale z gorycą w sercu, nieszczęśliwego Lelewela z Amiens do Arrasu".

Ówczesna atmosfera wolności pierwszych lat panowania Ludwika-Filipa sprzyja jednak działalności Dutrône'a. Pisze on o sobie: „chciałbym widzieć republikańskie instytucje wokoło ludowego tronu a opozycja moja polega nie na obaleniu lecz na podniesieniu, gdyż po obaleniu zobaczyłbym chaos katastrofy i nie potrafiłbym powiedzieć jaki byłby wynik tego..."

Lecz wkrótce przychodzi reakcja, zwłaszcza po stłumieniu powstania republikańskiego w r. 1834. Dutrône, widząc bezowocność swej działalności politycznej w tej atmosferze, zwraca się tym razem do spraw mniej delikatnych. Tym razem interesuje go zdobywany właśnie przez Francję Algier. Następnie ogłasza projekt założenia „Banku Wydawniczego", staje na czele Tow. Filantropijnego i Tow. Wstrzemięźliwości. W r. 1840 zostaje radcą miejskim w Dives-sur-Mer. Zakłada tam kasy oszczędności i biuro dobroczynne i bierze czynny udział w obradach miejskich. W tym czasie ogłasza też notatkę „O obaleniu pojedynków".

Rewolucja r. 1848, która obaliła lipcową monarchię, znów powołała Dutrône'a do życia politycznego. Widzimy go w r. 1848 w Amiens jako jednego z trzech komisarzy rządowych. W r. 1849 zostaje on szefem batalionu Gwardii Narodowej w Calvados. Następnie zajmuje się ponownie Algierem, jako członek komisji inspekcyjnej, wyznaczonej przez Ministerstwo Wojny dla zbadania tej kolonii.

Powstanie styczniowe w r. 1863 znów porywa Dutrône'a do sprawy polskiej, lecz pomny tych nieprzyjemności jakie na niego ściągnęło zbytnie oddanie się sprawie polskiej, będzie on tym razem bardziej ostrożny. Zwraca się więc nie do Francji. Notatka jego nosi tytuł: „Odezwa do kobiet Trzech Zjednoczonych Królestw na korzyść Polski". (Paryż 1864 r.)

W rejestrach miejskich w Dives z dn. 22.V.1866 r. figuruje ofiara pp. Dutrône (jak widać filantrop nasz pomyślał wreszcie o osobistym szczęściu rodzinnym) w postaci terenu na cmentarz. Prawdopodobnie zmarł on wkrótce, gdyż w latach 1870-71 imię jego nigdzie nie figuruje. Wydaje się zaś nieprawdopodobnym aby wypadki tych nieszczęsnych dla Francji lat pozostawiły w spokoju człowieka, którego niepowodzenia innych narodów wstrząsały do głębi jego jestestwa.

Blanchet kończy swój artykuł słowami: „Ofiara mistycznej filantropii... Dutrône nie zrobił kariery, na jaką mu pozwalały jego walory osobiste i jego wykształcenie. Potomstwo jest niesprawiedliwe w stosunku do tego filantropa".

Tyle szczegółów jakie potrafiłem odnaleźć co do osoby Dutrône'a w Grecji. Być może któryś z naszych historyków lub literatów na obczyźnie, a zwłaszcza we Francji potrafi odnaleść więcej materiału o tym człowieku, którego imię powinno pozostać w pamięci Polaków.

Jerzy Piątkowski

*) „Historyczne wspomnienia" — Nicolas Dragounis. Ateny 1874 r. strona 147-a.

NOWE KSIĄŻKI

O WOLNOŚĆ — **kalendarz poetycki lat 1939-1945.** Opracował Bogdan z Niemna. Na prawach rękopisu. Nakładem biuletynu informacyjnego Polaków w Libanie „Przelotem". Str. 62 (powiel.). Bejrut, 1947.

JAN KAZIMIERZ UMIASTOWSKI: **Przez kraj niewoli.** Wspomnienia z Litwy i Rosji z lat 1939 — 1942. Str. 133 + 3 nlb. „Biblioteka Pamiętników". Londyn, 1947.

JERZY SZCZEPAŃCZYK: **Partyzanckim szlakiem.** Str. 203 + 1 nlb. Wydawnictwo „Strażnica". Celle (Niemcy), 1947.

MARIA RUTKOWSKA: **Listy niewysłane z Ravensbrück.** Str 72 + 6 nlb. Oprawę graficzną wykonała **Lela Pawlikowska.** Wydawnictwo: **Biblioteka Książki Polskiej,** Londyn, 1947.

MASKA I RĘCE WITOLDA

napisał CEZARY GOŁKOWSKI

Gdy Elżbieta podjęła grę o zasadniczą stawkę, mąż jej siedział przy stoliku kawiarnianym, tuż obok telefonu, i porozumiewał się z nią na migi. Elżbieta proponowała Ernie wyprawę w trójkę na Bielany, (było właśnie rozsłonecznione, czerwcowe popołudnie). Tłumaczyła, że chcieliby porozmawiać z nią bez przeszkód o rozmaitych sprawach — („do ciebie zawsze ktoś przychodzi, jesteś w domu stale zajęta") .— Erna zastanawiała się, zwlekała z odpowiedzią, jakby intuicja agentki, która już przeszła w nawyk, ostrzegała ją przed oddalaniem się od ludzi. Zdenerwowanie Elżbiety wzrastało, w rozmowie powstała parokrotnie przykra próżnia. Raptem — Elżbieta nie wiedziała, czy ma wierzyć własnym uszom — Erna powiedziała że zgadza się. Umówiła się z obojgiem za godzinę na przystanku tramwajowym. Podniecona Elżbieta zdążyła jeszcze powiedzieć pośpiesznie do słuchawki, by Erna włożyła na siebie kostium kąpielowy, gdyż warto poleżeć na słońcu lub wykąpać się w Wiśle. Witold z pałającymi oczami zerwał się z krzesła.

Zbliżali się do finału. Stało się to tak nieoczekiwanie, że nie byli zdolni i nie mieli czasu, by się dokładnie nad czymkolwiek zastanawiać. Działali już teraz odruchowo. Popędzili do domu. Witold musiał zabrać pistolety i wziąć obszerny płaszcz letni, w którego głębokich kieszeniach nie znać było broni.

Gdy zdyszani wpadli do mieszkania, Witold wyszedł na chwilę z pokoju, by wydobyć ze skrytki pistolety.

Elżbieta pozostała sama. Przystanęła w zamyśleniu na środku pokoju, utkwiwszy mechanicznie wzrok w deseń kilimu nad otomaną. Jak długo toczyła się gra o wciągnięcie Erny w pułapkę, Elżbieta czuła w sobie zimną pasję myśliwego na tropie i triumf pierwszego powodzenia. Nie miała wątpliwości, że Erna zasłużyła na wyrok. Były niezbite dowody, że zdradza i parę już ofiar wciągnęła w sieć Gestapo. Oni sami czuli się zagrożeni. Erna mogła wiele domyślać się z ich trybu życia. Elżbieta w dalszym ciągu uznawała za rzecz nieuniknioną i słuszną, że Erna powinna zginąć.

Parokrotnie już towarzyszyła mężowi przy wykonywaniu wyroków na gestapowcach i szpiclach. Donosiła broń na miejsce zamachów i osłaniała odwrót. Była otrzaskana z hukiem strzałów, widokiem krwi i niebezpieczeństwem ucieczek.

Teraz jednak sprawa wyglądała inaczej. Trzeba było patrzeć w oczy skazanej na śmierć i rozmawiać z nią udając obojętną. Wprawdzie główny ciężar zadania spadał na Witolda, który znakomicie panował nad sobą — Witold jednak po raz pierwszy miał zabić kobietę. Myśl ta olśniła teraz Elżbietę, jakby dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie było logicznego powiązania tego faktu z opanowującym ją rozstrojem i lękiem przed mającą nastąpić sceną. Erna była przecież równie winna jak i męscy oprawcy i zdrajcy, których Witold kładł niezawodnymi strzałami na ulicach i w niemieckich urzędach. A jednak Elżbiecie nasunęło się teraz dręczące pytanie: „czy Witold potrafiłby i mnie zabić, gdyby mu kazano?" Zapragnęła pod ciężarem tej wstrząsającej wątpliwości położyć się na otomanie w swoim ulubionym kąciku — nic nie wiedzieć i nic słyszeć i dać się bezwolnie unieść fali czasu.

Drgnęła, gdy Witold stanął nagle przy niej i rzucił z przekąsem: „cóż stoisz jak słup soli?" W tejże chwili pożałował swej brutalności. Objął żonę serdecznie wpół i pocałował. Przytuliła się doń w milczeniu, jakby szukając u niego podpory. Oprzytomniała nieco i równocześnie zrodziło się w niej rozpaczliwe postanowienie. Szepnęła: — „Daj mi pistolety do przeniesienia". — Witold odmówił. Tłumaczył żonie — zdziwiony nieco jej żądaniem — że nie zdążyłaby przecież podać mu ich w stosownej chwili. W tramwaju było niebezpiecznie. W polu mogło zwrócić uwagę Erny, którą trzeba było zaskoczyć. Elżbieta nic nie odpowiedziawszy opuściła z rezygnacją głowę.

Dziwne przeczucie tknęło Witolda. Ujął głowę Elżbiety w obie dłonie i badawczo spojrzał jej w oczy. Czyżby cofała się i chciała przez zatrzymanie pistoletów przy sobie udaremnić lub odwlec wykonanie wyroku? Elżbieta już jednak opanowała się i wytrzymała spokojnie spojrzenie męża. Cóż za podejrzenie — skarcił Witold sam siebie. Ujął żonę za rękę i pociągnął ku wyjściu. Nie miała sił jawnie się opierać. Poszła za nim.

Zdala już dostrzegli Ernę, czekającą na przystanku. Erna uśmiechała się do nich przyjaźnie. Uśmiech ten całą wyprawę sprowadzał do pozorów czysto towarzyskiego spotkania i ostatecznie podtrzymał z trudem uzyskaną równowagę wewnętrzną Elżbiety. Mimochodem tylko podchwyciła uwagę Witolda przy zbliżaniu się do przystanku, by uważała, czy Erna nie jest obstawiona przez agentów Gestapo i ze swojej strony nie pomyślała tej wyprawy jako zasadzki.

Wszystko układało się tak łatwo i pospolicie, że Elżbieta traciła chwilami poczucie rzeczywistości i ulegała złudzeniu, że naprawdę jadą z Erną jedynie na przechadzkę, by użyć świeżego powietrza i pogawędzić.

W tramwaju rozdzielił ich tłok i nie byli zmuszeni rozmawiać z Erną. Gdy wysiedli na przystanku bielańskim i znaleźli się w szczerym polu, okazało się, że nie tylko obawy Witolda przed zasadzką były nieuzasadnione, lecz że i rozmowa z Erną — której lękała się Elżbieta — nie nasuwała żadnych trudności. Mówili w roztargnieniu o byle czym, o pospolitych sprawach codziennego życia — i to wystarczało.

Erna zdawała się do niczego nie przywiązywać specjalnej uwagi, jakby zapomniała o zapowiedzi Elżbiety, że chcą z nią porozmawiać na określony temat. Była jakaś inna niż dotąd, naturalna i spokojna, uśmiechała się do słońca i do Witolda i wpatrywała się weń mrużąc swoje zielone, dziwne oczy, pełne zmiennych błysków. Witold pod jej wzrokiem to bladł, to czerwieniał i skarżył się na gorąco. Erna niewątpliwie tłumaczyła sobie jego zachowanie na swój kobiecy sposób. Elżbieta przez cały czas zacinała usta, wargi jej niepokojąco drżały. Potknęła się parokrotnie na równej ścieżce, aż Erna zwróciła na to uwagę. — „Ach, te koturny" — narzekała Elżbieta.

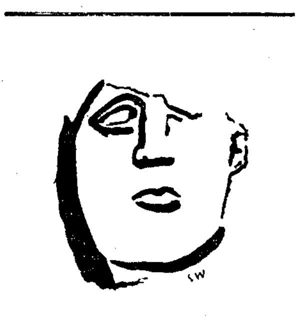

St. Westwalewicz — Maska

Wreszcie usiedli wśród suchej, skąpej trawy, na bielańskiej skarpie, która w tym miejscu opadała łagodnie ku Wiśle. Elżbieta i Witold usadowili się po obu stronach Erny, Witold nieco w tyle.

Erna w dalszym ciągu niczego nie przeczuwała i nuciła swobodnie modne tango, po czym zapowiedziała, że będzie się rozbierać i pochyliwszy się zaczęła zdejmować pantofle. Oboje pojęli równocześnie, że nadszedł właściwy moment. Elżbieta rozpoczęła mówić o czymś bezładnie do Erny, żeby odwrócić jej uwagę od Witolda. Nigdy później nie potrafiła odtworzyć tej ostatniej z nią rozmowy. Słowa Elżbiety musiały jednak mieć jakiś sens, gdyż Erna odpowiadała jej przerywając raz po raz śpiew.

Nagle Witold przesunął się nieznacznie poza plecy Erny i wydobył z kieszeni płaszcza pistolety. Ręce Witolda drżały i lufy pistoletów kiwały się przez chwilę ponad karkiem Erny jak dzioby jakichś groteskowych ptaków.

Obraz Witolda z pistoletami w dłoni odbił się niemym przerażeniem w twarzy Elżbiety. Zapomniała o wszystkim, co ją tu przywiodło, o winie Erny i swoim współudziale w przygotowaniu wyroku. Wpółprzytomna chciała poderwać się z ziemi i przeszkodzić Witoldowi w oddaniu strzału. Czy pragnęła sprawić może, by Erna ocknęła się i wiedziała przynajmniej że ginie? Ciało jednak odmówiło Elżbiecie posłuszeństwa, wpółotwarte usta wydały tylko jakiś głuchy dźwięk... Ręka wykonała bezsensowny ruch w powietrzu i zawisła w próżni. Na dźwięk tego głosu Erna wyprostowała się. W tej chwili padł pojedyńczy strzał, dziwnie suchy i nikły na tle naprężenia Elżbiety. Elżbieta czuła, że słońce w dalszym ciągu pali jej twarz i odsłonięte ramiona. Słyszała, jak chłopak, pasący w oddali kozy, pokrzykuje bez przerwy ostrym, przeciągłym głosem. Zacisnęła na moment powieki, usiłując wyobrazić sobie, że nic się nie stało. Natychmiast jednak otworzyła oczy i ujrzała twarz męża, która przypominała teraz tragiczną maskę z greckiego teatru. Oczy Witolda uciekły w głąb, usta wykrzywiły się bolesnym grymasem, żyły na czole nabrzmiały. Wzdłuż skroni ciekły niteczki potu. Witold na próżno cisnął z rozpaczą za cyngle pistoletów. Nie padł już ani jeden strzał.

W tymże momencie Elżbieta spotkała wzrok Erny, która nie zmieniając pozycji pochyliła się tylko do przodu i oparła się rękami o ziemię. Z jej ust sączyła się krew, Erna była jednak jeszcze przytomna i uporczywym, złym wzrokiem patrzyła na Elżbietę, która ugięła się pod tym spojrzeniem. Nie miała jednak sił, by nie patrzeć. Wówczas Erna nie odwracając od Elżbiety mętniejących oczu, zaczęła coś szeptać przewlekle zachłystując się krwią... Elżbieta nie rozumiała słów umierającej — widziała tylko jej usta poruszające się ciągle w tym samym rytmie.

— Nie mogę jej dobić — zacharczał Witold i z wściekłością cisnął pistoletami o ziemię. Elżbieta straciła panowanie nad sobą, lecz odzyskała władzę nad swoim ciałem. Rzuciła się z płaczem do Erny. Usiłowała ją podtrzymać, objęła wpół, gładziła konającą. Erna osuwała się bezwładnie coraz niżej, wreszcie opadła na bok i złożyła głowę na ramieniu.

Elżbieta zerwała się na nogi i zaczęła nerwowo rozglądać się w koło, jakby poszukując wzrokiem, skąd by można wezwać pomocy. Witold jednak chwycił ją za ramię tak silnie, że krzyknęła z bólu.

— Idziemy — rzucił ostrym głosem. Pochwyciwszy z ziemi pistolety i schowawszy je do kieszeni płaszcza, odszedł polem parę kroków, w stronę przystanku tramwajowego. Przystanąwszy, ruchem ręki wzywał w milczeniu Elżbietę, by śpieszyła za nim. Ból w ramieniu i nakazujący głos Witolda oprzytomniły Elżbietę. Chwiejąc się na nogach pobiegła za nim przez pole.

Był już najwyższy czas, by uciekać. Z drugiej strony zbliżała się do miejsca, w którym leżała Erna, stara, wiejska kobieta. Za nią szło dwóch śmiejących się głośno mężczyzn. Elżbieta obejrzała się raz jeszcze na Ernę. Leżała nieruchomo wśród pola jakby uśpiona ciszą i słońcem popołudnia.

Puścili się biegiem w stronę przystanku tramwajowego. W ostatniej chwili dopadli odjeżdżającego tramwaju. Nikt ich jednak nie ścigał. Z trudem zdobyli dla siebie miejsca w przepełnionym tramwaju.

Elżbieta nie była zdolna przemówić słowa do męża, choć stał tuż koło niej w tłumie. Była tak wyczerpana, że gdyby nie podtrzymywały jej naciskające zewsząd ramiona, biodra i nogi stłoczonych pasażerów, usiadłaby chyba na podłodze tramwaju.

Tramwaj trząsł się i zgrzytał na zakrętach. Pasażerowie tłoczyli się i hałasowali.

Mogło się zdawać, że nie wydarzyło się nic szczególnego. Wracają oto zwyczajnie z wycieczki. Nie ma tylko Erny. Elżbieta pomyślała o tym z ulgą. Nareszcie wszystko się skończyło. Czy naprawdę jednak wszystko? Przecież trup Erny pozostał na polu, a obraz jej śmierci utkwił pod czaszką na zawsze. Co chciała powiedzieć Erna, gdy bełkocząc w przedśmiertnej agonii patrzyła na nią swoim strasznym wzrokiem? Czy ubliżała jej, czy prosiła o litość, czy wpółprzytomna zwracała się do kogoś ze swoich najbliższych? Nigdy nie otrzyma na to odpowiedzi. Jakież to będzie męczące nosić ze sobą ciężar tych słów o nieujawnionej treści. Co myśli o tym wszystkim Witold?

Elżbieta widziała męża jak przez mglistą siatkę. Zdolna była jednak zauważyć, że twarz jego była już gładka jak zwykle, tylko zmęczona. W kątach jego ust załamywały się głębokie cienie. Nie było w nim jednak widać śladów tragicznej maski z greckiego teatru, jaką mu wciąż teraz w wyobraźni usiłowała nałożyć na twarz. Maska ta musiała pozostać w polu — pomyślała niedorzecznie. Leżała tam pewnie teraz na słońcu, porzucona obok ciała zabitej. Jakże piękny był jednak jej Witold, gdy nie miał tej maski na sobie.

Elżbieta wzrok swój przeniosła na ręce Witolda, które opierał spokojnie o poręcz ławki. Były kształtne i czyste, z długimi, delikatnymi palcami artysty. Nieraz wieczorami Witold grał na pianinie. Siadywała wówczas na otomanie i lubiła słuchać muzyki, patrząc na ręce Witolda. W półmroku, gdy grał nokturny Szopena, ręce te nasuwały jej porównanie do kiści białych kwiatów, opadających cicho na klawiaturę.

Cóż za bezsensowne wspomnienie. Widziała je przecież wyraźnie, nie dawniej jak dwadzieścia minut temu, zaciskające się na pistoletach ponad śniadym karkiem Erny. A wieczorem Witold będzie tymi rękami dotykał jej ciała. Wstrząsnął nią dreszcz odrazy. Dlaczego jednak uczynił to właśnie jej Witold, którego ręce były przecież stworzone tylko do fortepianu i pieszczot...

Jakże mało wiedziała dotąd o tym opanowanym, gładkim chłopcu, który był jej mężem. Cóż właściwie miała z nim teraz wspólnego poza tajemnicą wyroku? Czy zdolny byłby zrozumieć i podzielić jej przeżycia? Nie, był to już teraz człowiek obcy i daleki, który na domiar budził w niej niechęć i ślepe przerażenie.

Elżbieta pojęła w błyskawicznym skrócie, że Witold prócz Erny zabił coś więcej jeszcze.

Maryla Lednicka

Kto nie widział Maryli Lednickiej przy pracy, kto znał ją tylko z salonu, gdzie ta znakomita artystka czuła się równie swobodnie jak w pracowni rzeźbiarskiej, ten nie mógł uwierzyć, że jej kruche kobiece ręce potrafią tak sprawnie porać się z marmurem. A właśnie te ręce wykwintnej zeszłowiecznej damy posiadały nie tylko znajomość budowy kamienia i tkanki twardego drzewa, ale i siłę fizyczną, jakiej wymaga praca rzeźbiarska, ze wszystkich zajęć artystycznych najbardziej zbliżona do rzemiosła.

Miłość sztuki obudziła się w Maryli Lednickiej od najwcześniejszego dzieciństwa. Jako 9-letnia dziewczynka oglądała wspaniałe arcydzieła w Pałacu Luksemburskim w Paryżu i od tej chwili zawrze ze sztuką związek najściślejszy. Wychowała się w domu pełnym nie tylko starej kultury ale i twórczej myśli. Ojciec jej był działaczem politycznym o europejskim pokroju, matka miała szczere zamiłowanie do muzyki. Dom państwa Lednickich wśród białoruskiej ciszy stanowił żywy ośrodek myśli politycznej i punkt węzłowy wielu spraw publicznych. Toteż gdy młoda, 18-letnia panna Lednicka postanowiła pojechać do Paryża, do tej Mekki artystów od paru pokoleń, by oddać się studiom rzeźbiarskim, zamiar jej znajduje jak najtroskliwsze zrozumienie u rodziców.

W r. 1913 wyjeżdża do Paryża. Jest uczennicą najsławniejszego rzeźbiarza tych lat, twórcy wspaniałego pomnika Mickiewicza w Paryżu — Emila Bourdelle'a. Wybuch pierwszej wojny światowej przerywa jej studia, ale już w r. 1921 artystka zjawia się ponownie w Paryżu. Wystawia w Salonie Tuilleryjskim, w Salonie Niezależnych oraz bierze udział w Salonach Jesiennych. Spośród uczniów Bourdell'a jest talentem najbardziej skrystalizowanym i niezależnym. Wpływy mistrza, a także największego rzeźbiarza Francji Rodina, uwidocznią się dopiero w jej późniejszych dziełach.

W czasie pobytu we Francji studiuje zapamiętale rzeźbę gotycką. Długie godziny spędza w katedrze Notre Dame, w Chartres, Amiens, Rheims, Rouen, Laon. To także nie pozostanie bez wpływu na jej prace, szczególnie na rzeźby w drzewie. Kilkuletni pobyt we Włoszech był okresem jej największego rozwoju artystycznego. W r. 1932 wyjeżdża do Ameryki, gdzie pozostaje do końca życia.

Religijność artystki, pogłębiona studiami nad gotykiem, uwypukli się nie tylko w tematyce jej dzieł, ale i w stylu, który od klasycyzującej finezji jej pierwszych marmurów doprowadzi do śmiałego traktowania materiału, szczególnie w pracach wykonanych w drzewie. Na sztuce Maryli Lednickiej obserwować możemy w całości dzieje formy artystycznej, jakim ulegała współczesna rzeźba. Od gładkiego eklektyzmu w stylu Canowy aż po umiarkowany formizm („Polowanie na jelenia"). Spośród jej dzieł porozrzucanych po wielu krajach (kariatydy w budynku Targów Mediolańskich, liczne portrety we Francji) najwięcej znajduje się w Ameryce, głównie w New Yorku.

W postaciach swych licznych świętych (Antoni, Bernard, Franciszek z Asyżu), w których najwyraźniej uwidoczniło się jej zainteresowanie do gotyku, zdołała Lednicka osiągnąć ten pozaziemski spokój, który jest niedościgniony dotąd ideałem rzeźby klasycznej, Jest to spokój mądrości, która

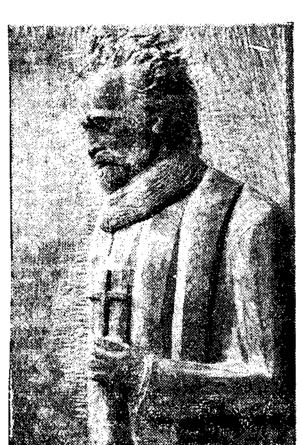

Maryla Lednicka Piotr Skarga
(Fordham University w Nowym Jorku)

wznosi się ponad przelotne uczucia człowiecze, jest to spokój głębokiej wiary, która wie, że po burzach życia znajdzie ukojenie w Bogu. Jej „Czarny Anioł" ma niespokojną gotycką stylizację szaty i klasyczną harmonię w spojrzeniu, które nad otchłanią czasu widzi oba brzegi życia — tego, które przeminie, i tego, które trwa.

Tadeusz B. Spitzer

Dr TADEUSZ BORN

„PSIOCZĄCY KUNDLIZM"

Pierwsze zdanie książeczki M. Wańkowicza „Kundlizm" głosi, że „stale wahamy się między megalomanią a kompleksem niższości. Pisarz, który podbechtuje megalomanię, podoba się nam. Pisarz, który wskazuje nasze złe strony — prędzej czy później ściąga na siebie oburzenie".

Autor — pisząc istotnie rzeczy nie przyjemne — ubezpieczył się w ten sposób przed tym właściwie „oburzeniem". Tymczasem — jak dotąd — oburzenia żadnego na siebie nie ściągnął, a wręcz odwrotnie — raczej pochwały.

W dalszym ciągu autor pisze, że „pisanie pod prąd powszechnych upodobań jest równie potrzebne, jak pisanie z rytmem serc".

Czy istotnie Wańkowicz pisze pod prąd powszechnych upodobań? Nie tylko mam co do tego poważne wątpliwości, ale twierdzę, że jest wręcz odwrotnie — Wańkowicz wyczuł „prąd upodobań" i popłynął z nim. Ten prąd to zamiłowanie do „psioczenia". Terminem tym określam, z grubsza biorąc, wypadkową dwu procesów: nieuzasadnionego logicznie uogólnienia faktów jednostkowych oraz narzekania na nie jako na fakty powszechne.

Płynięcie z prądem nie zawsze jest rzeczą złą czy szkodliwą. Staje się nią jednak wówczas, gdy ślizgając się po płyciznach myślowych pragnie uchodzić za bohaterski czyn płynięcia pod prąd i gdy przybiera pozę „wieszczenia" powszechnych praw i prawd.

Miałbym ochotę opinię swoją o „Kundliźmie" Wańkowicza uzasadnić na przykładzie całej książki, brak miejsca zmusza mnie do rozważenia jedynie pierwszych rozdziałów, które nadają całości pewne charakterystyczne piętno.

Dwa są twierdzenia (w pierwszych rozdziałach), które autor pragnie uzasadnić przykładowo. Pierwsze: jeden Polak drugiemu nie da za grosz kredytu moralnego zaufania. Drugie: w każdym Polaku tkwi nieuczynność i wrogość do drugiego człowieka, którą autor nazywa bezinteresowną zawiścią. „Udowadniając" przykładami te twierdzenia dochodzi do ogólnej „prawdy": Polakom jest źle ze sobą i to nie w ciężkich chwilach, lecz właśnie w dniach powszednich.

Przypatrzmy się bliżej poszczególnym ogniwom tego rozumowania. Aby uzasadnić swe pierwsze twierdzenie (o braku kredytu moralnego) Autor powołuje się na bogate słownictwo pogardliwych słów jakie mamy w języku polskim i sypnął przykładami jak z magicznego rękawa: reporterzyna, lapiduch, skoczybrózda, urzędas, glina, pigularz itd. Oszołomieni lawiną gotowi jesteśmy od razu przyznać rację autorowi, że powszechną zgryźliwość na prawdę jest naszą ogólną cechą narodową.

Co uczciwszy Polak zmartwi się „narodowo", ale jednocześnie wielu z nas, a może nawet większość, poczuje radość w sercu.

Oto już wiemy dokładnie dlaczego każdemu z nas jest źle, dlaczego się nie powodziło i nie dochodzi, dlaczego do niczego się nie doszło.

Przyczyna prosta: zgryźliwość ludzka, zawiść niczym nieuzasadniona. Radośniej robi się na duszy. Chociaż naród pogłębiony, ale ja jestem uratowany, choćby we własnej opinii! Nie szukajmy winy czy przyczyny w sobie, bo ona leży poza nami.

Gdybyśmy byli (myśli każdy o sobie) członkami innego narodu, to ho! ho!).

Powstrzymuję swą radość i czytam dalej. Dobrnąłem do strony 33-35 na której Autor opisuje swą rozmowę z p. Pimpelkiewiczem, którego właśnie poznał. Grzeczny Pimpelkiewicz pyta: „no i cóż tam słychać panie prezesie". — „Nie jestem prezesem" — rzeczowo odpowiada Autor. Nie zrażony Pimpelkiewicz mianuje Autora dyrektorem, czemu ten przeczy. I tak dalej — jeden częstuje tytułem, drugi się tytułu wypiera. Na chwilę wstrzymałem się w czytaniu i... pomyślałem, że jednak Autor jest jakimś innym człowiekiem niż wszyscy Polacy. Dlaczegóż to nie ochrzcił go świeżo poznany współtowarzysz podróży jakimś pogardliwym mianem reporterzyny czy gryzipiórka, czego by oczywiście głośno nie wyraził, lecz pomyślawszy schował się za bezpieczne pod tym względem słówko „pan". Posunąłem swe rozmyślania o krok dalej. A może ten tytuł prezesa, dyrektora, doktora, redaktora, dziedzica, hrabiego, mecenasa czy radcy ma równą wartość co zgryźliwe miano skryby czy reporterzyny? Może te wszystkie „nominacje" (nawet na wieszcza narodowego) mają równie zerową wartość co zgryźliwe „degradacje"? Może jednak nie są one wyrazem jakiejś jednolitej i powszechnej tendencji poniżania lub wywyższania, lecz zwykłą sobie ludzką indywidualną reakcją na czyjś wygląd (nie każdego przecież stać na postawę biskupa), uzupełnioną w pewnych przypadkach osobistą znajomością i oceną, słuszną lub niesłuszną, działalności.

Rzeczą obojętną jak jest na prawdę. Nie wolno wyciągać ogólnego wniosku, że istnieje wśród Polaków powszechny brak zaufania i zgryźliwość, że każdy Polak zaczyna pracę w swym środowisku z obciążeniem nieufności. Chyba, że nominację na dyrektora również potraktujemy jako zgryźliwość czy brak zaufania, gdyż zainteresowany uważa siebie za dużo, dużo ważniejszą figurę. Mądry był pod tym względem Franciszek Fiszer, o którym na stronie 35 wspomina autor.

„Wielki mistrz kundlizmu"

Uzasadniając swe drugie twierdzenie (o nieuczynności i wrogości) autor sięga również do przykładów. Oto wywołuje przed nasze oczy obrazek Anglika w wojskowym składzie, którego jedynym zmartwieniem jest, by najlepiej nas obsłużyć.

Następne zdanie — batem po Polaku: urzędujący Polak myśli przede wszystkim jak nie dać, że może jednak jakiś przepis na coś nie pozwala.

I znów czujemy się radośnie. Już rozumiemy dlaczego ten łajdacki sprzedawca w polskim sklepie nie sprzedał nam tego czegośmy żądali. Nie ten czy ów — tylko każdy polski sprzedawca, bo tak stawia sprawę Wańkowicz. Tłumaczył się, że czegoś brak lub czegoś nie wolno sprzedać? Kłamie! On nie chciał sprzedać, bo każdy Polak taki.' Polak Polakowi wilkiem. I tylko szuka protestu, aby wyładować z siebie „tkwiącą w każdym Polaku nieuczynność i wrogość do innego człowieka".

Ciekaw jestem, czy autor po doświadczeniach na terenie wysp brytyjskich podtrzymałby swe zdanie o wszystkich uśmiechniętych Anglikach, myślących jedynie jak spełnić nasze żądania, w sklepie czy gdziekolwiek indziej.

Czy nie przyszło mu na myśl, że ten jego przykładowy Anglik-sprzedawca jest równie tyle wart w swych grzecznościowych formułkach co ów major angielski, rozmawiający z autorem na tematy polityczne i grzecznie przytakujący ale myślący swoje(str. 63-64).

Ciekaw jestem również czy w swoim życiu nie napotkał autor uprzejmych sprzedawców-Polaków, w takiej choćby ilości przykładów aby mogły one posłużyć, jeśli nie jako podstawa do sformułowania wręcz odmiennego sądu (wszyscy Polacy są uprzejmi), to choćby jako hamulec do wydawania ogólnego sądu ujemnego w tak kategorycznej postaci. Zostawiam te wątpliwości moje do rozważenia autorowi.

„Zawiść bezinteresowna. Specjalnie grasuje w Polsce jak mucha tse-tse w jakimś Nyaka-Landzie, pisze autor. Oto przykłady... odsyłam do książeczki.

I znów się cieszy każdy z nas oddzielnie bo wie dlaczego nie jest pułkownikiem czy generałem, uznanym wieszczem czy przywódcą, ministrem czy prezesem. Winna temu jest zawiść bezinteresowna, „rozlana w polskim powietrzu jak jad". Dlatego lepiej nie mówić o ewentualnym awansie, bo wtedy może się da prześlizgnąć przez siatkę powszechnej bezinteresownej zawiści szewca wobec kanonika aby nie został prałatem.

Jakoś nie mogę uznać tych twierdzeń autora za powszechnie prawdziwe i dlatego też gdy czytam nową prawdę na nich opartą, że „Polakom jest źle ze sobą i to w dniach codziennych powszednich szarych" — budzą się we mnie poważne wątpliwości. Nie przeczę, że niejednokrotnie mogą być prawdą podane przez autora fakty, — ale od tego jakżeż daleka droga do niewczesnych i szkodliwych uogólnień w formie „prawd powszechnych".

Zgadzam się z Wańkowiczem, że w tym czy innym konkretnym wypadku, ochrzczenie kogoś degradującym i pogardliwym mianem może osłabić jego możność pracy, ale mam nadzieję, że autor zgodzi się ze mną również, iż chętnie i szeroko zastosowane w słownictwie towarzyskim awanse (np. na wieszcza narodowego) mogą również w pewien niekorzystny sposób wpłynąć na awansowanego. Tak np. jak może woda sodową uderzyć do głowy jeśli ją nazwiemy szampanem. Mogą wówczas powstać dziwne pomieszanie pojęć. Oto pewien nasz wieszcz narodowy (że tak powiem — zweryfikowany wieszcz narodów służby stałej — myślę o Słowackim) w Anhellim twierdzi, patrząc na gromadę wygnańców: „Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale ich nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych". Nasz „wieszcz" czasu wojny twierdzi co innego. Komu wierzyć?

Po przeczytaniu całości zadałem sobie pytanie: skąd się wzięło w autorze tyle bezinteresownej zawiści wobec Polaków? Byłoby wybitną złośliwością wobec Melchiora Wańkowicza, gdybym zastosował przy rozwiązywaniu tego pytania jego własną metodę myślenia i stwierdził, że te czy inne swoje indywidualne przeżycia uogólnił i uczynił z nich wady narodowe Polaków. Byłoby złośliwością doszukiwanie się osobistych przyczyn czy jakiejś wynaturzonej formy egotyzmu. Nie zrobię tego.

A może zagadkę rozwiąże własne zdanie autora (strona 48), że: „Kundlizm stworzył zły styl myślenia". Bo przecież mamy tu najwyraźniej do czynienia z typowym przykładem złego stylu myślenia. Utwierdzają mnie w tym przekonaniu dalsze uwagi „wieszcza", gdy twierdzi, że w Polsce poszlacheckiej rozwinęła się nienormalnie zdolność łatwej syntezy i zawsze chromająca analiza, dzięki czemu w konsekwencji u góry wytworzyła się nieodpowiedzialna „pustologia" z niesłychaną łatwością przerzucająca hasła i programy i różniczkująca ludzi (strona 61-62).

Reasumując wszystko: żałuję, że Wańkowicz wydał „Kundlizm" jako książkę. Żałuję, że nie przedrukował tych felietonów po raz drugi w czasopismach, jeśli już chciał je przypomnieć. Wówczas, nieobciążone powagą książki spełniłyby pożyteczną rolę.

Londyn

Mylę się, sądząc że w czarnych konturach miasta jest coś bliskiego.

One są tylko znajome, bo trzeci raz jestem na Liverpool station i znam oddech tych ulic.

Wiem także, że tuż za wznoszącą się lekko ulicę pierwszą — zaskoczy mnie i zdziwi olbrzymia, czarna kobieta z reklamy i skieruje wprost na mnie swe wyblakłe oczy. Przeczytam spokojnie — keep death on the road — ale ona będzie patrzyła wciąż z niemym, upartym wyrzutem, jakby nie była tylko wdową po kimś kto zginął w katastrofie samochodowej — lecz w jej twarzy zebrały się potajemnie wszystkie wdowy Europy.

Tuż koło tej dziwnej wdowy spotkam dziewczynę bez pończoch. Jej nogi są czerwone i śmiałe, nie czują, lub nie chcą czuć zimna.

A ja zagłębię się w Londyn.

Pójdę w monotonny krzyk ulic, unosząc w sercu dziwną radość zagubienia się w tym olbrzymim mieście, wznoszącym się nade mną i pode mną.

Szczególny wyraz mają dla mnie mury kamienic: one są biało-czarne — więc noszą żałobę na pewno — ale męczy mnie świadomość że nie dowiem się przyczyny tej żałoby (białe plamy i obwódki murów pochodzą z deszczu — więc może jest to żałoba po słońcu?).

Mury Opactwa Westminsterskiego są smukłe i bolesne: patrząc tam, drżę. Tu pogrzebana jest historia. Wszystko co po niej zostało to kurz na posągach i martwe, kamienie Canninga.

Natomiast historia ta jest żywa w czerwonych kwiatach, rzuconych na płytę, pod którą jest Żołnierz nieznany. Bo on jest wojną i wszystkim tym, co z wojny wynieść można było najświętszego.

A jednak chcę deptać to plamy czerwonych kwiatów i to uczucie jest bardzo bolesne. W nim jest być może garść wojny: najbardziej ludzka nienawiść.

Muszę się z niej otrząsnąć pod białym dymem nieba, w locie gołębi szarosrebrnych. One zdobiły kościół św. Anny na Krakowskim Przedmieściu? Tak, ale tamte umarły razem ze starym Zygmuntem. Te zaś wzlatują ku profilowi Nelsona i mają miejsce najmilsze na jego admiralskim kapeluszu. Ta kolumna jest strzelista i przypomina wspaniałe sosny-olbrzymy. Jest w niej patos panowania. Może dlatego uważa się kolumnę Nelsona na Trafalgar Square za symbol Londynu. Przez małą chwilę, gdy zniknął dymy białej mgły i ukaże się łagodna wnęka nieba — profil Nelsona rysuje się na jego tle ciemną linią wielkości.

Na trotuarach zaś jest życie zgiełkliwe, rozpędzone, nie znające kresu swych dróg. I wtedy tracę odwagę, czuję się jak drobny, mały zwierzak, stojący przed olbrzymią, huczącą maszyną. Jeżeli idę — to tylko dlatego, że mnie porywa za sobą krzyk tego miasta przytłumiony. Że mnie ta wrzawa ludzka o jednej niezrozumiałej twarzy ciągnie wgłąb, chcąc mnie ogarnąć sobą,

Typowy obrazek z Londynu: policjant wstrzymał ruch uliczny, by przepuścić kaczkę z kaczętami

nadać mi piętno swoje, rozetrzeć w olbrzymich rękach to wszystko, co mnie od niej odróżnia. Skaczą mnie do oczu zgrzyty obcych nazw, litery stają się niezrozumiałe — o, one są nawet bolesne.

Opieram więc oczy na wykrzywionych drzewach, na szarej linii Hyde Parku. A potem królowa Wiktoria z kamiennego posągu oprze dłoń na belce i będzie śledziła wytrwale przechodzących ludzi. Nie lubię tej starej kobiety. Nie dlatego, że ma własną epokę w historii, ale dlatego, że opiera dłoń na berle ruchem pewnym, nieznającym sprzeciwu.

Jej korona białoczarna jak mury kamienia przypomina mi starą dekorację, jest także spokojem fałszywym. Królowa Wiktoria patrzy dumnie: przed jej oczyma bowiem wyrastają kolumny Imperium, tego Imperium, które ona zaczęła tworzyć. Odchodzę śpiesznie, unosząc wstyd, że królowa nie widziała mnie. Gdy oglądam się, ona patrzy wciąż nieruchomo na swoje Imperium. W tym spojrzeniu tkwi cała Anglia dawna i dzisiejsza jest tam jakiś zasklepiony horyzont wzroku, jest wytyczony jego promień, który odchylić się nie może nawet o mały stopień. Tradycja? Nie, to trzeźwość. Z tym przeświadczeniem w sercu jest mi jednak ciężko. Nie umiem być trzeźwa i sucha. Zazdroszczę Anglikom trzeźwości, chcę się jej od nich nauczyć, ale wiem, że trudno mi będzie.

Oddalam się od królowej Wiktorii, zostawiam ją zapatrzoną w Imperium — mam znów przed sobą setki ulic, setki świateł, tysiące domów, miliony ludzi. Mam przed sobą olbrzymie, piętrowe autobusy o wielkich, groźnych oczach z jakiejś reklamy. Oczy te umieszczone na przedzie wozów nadają im wyraz nienormalnego, przedhistorycznego człowieka. Ludzie w autobusach są mali, zamazani szybami, zagubieni we własnym pośpiechu. Ci ludzie sprawiają na mnie wrażenie biednych. Zresztą ulice londyńskie nie mają eleganckiego tła — wszyscy tu są szarzy, przeciętni, jakby ciągle pochyleni w pracy. Wystawy bywają piękne i luksusowe, ale są one jakby oderwane od tego tłumu.

W mieście można wyczuć cień dziwnego chaosu. Pierwszy rzut oka na Londyn jest wrażeniem potęgi i ogromu, porządku i nieustannej, wzmagającej się ruchliwości tłumów. Drugi rzut pozwala zobaczyć smutek tego miasta, smutek i prawie brzydotę. Londyn jest bowiem za ogromny, aby być ładny. Jego nieliczne fragmenty starej sztuki, jego pomniki i echa historii mają w sobie cień białoczarnego smutku.

Czy można polubić to miasto? Nie wiem. Dla mnie ono ma zbyt mało uroku, jest ono tylko groźne powikłaniem ulic i milionami ludzi. Jest duszą obcego państwa i obcej mi idei władztwa. Moje spojrzenie na Londyn jest czasem uroczyste, czasem nieprawdziwe — lecz zawsze smutne.

Jedno jest w tym mieście piękne, a nawet bliskie: kolumna Nelsona — ale tylko, gdy rysuje się na niebie jasnym. Myślę wtedy o małej kolumnie z Zamkowego Placu i w wyniosłej postaci Nelsona szukam uparcie Króla,, który padł w powstaniu sierpniowym.

I. Radzymińska

MARIAN PANKOWSKI

Obsypywały się gwiazdy ...

Oczy. Nawiedza mnie przestrzeń żaglowcem zielonym.
Rozładowuję wonny pokład przepalonego spiekotą koniczu.
Kopry przegięte zadrzemaną muchą.
I jabłoń płona wielokrotnie padła,
przezłacając cień i coraz głośniej milcząc.

Odwołuję siebie (jak nadmiar koloru)
spod romańskiego w jabłoni sklepienia.

Wiatr tak rzadki, że ptaki w nim toną,
w konarku chłodu niesie miody trzmiele.
Zamrużę powiekę wieczoru.
Konie rzeźbione w dębie
niosą część krajobrazu ku rzece.

Ja znałem taką porę:
Obsypywały się gwiazdy na noc ogromną
i pachniały ziemniaki w cieplutkim popiele.

Na marginesie wydarzeń: Zmierzch „pośredników"

(P) Batalia na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ w Flushing Maedows rozpoczęła się zgodnie z przewidywaniami, gdyż główne punkty wystąpienia amerykańskiego były już uprzednio podane do wiadomości. Propozycje p. Marshall'a zmierzają:

1) do „zliberalizowania procedury" w w Radzie Bezpieczeństwa przez usunięcie prawa veta przy pokojowym załatwianiu sporów międzynarodowych (część VI statutu) i przy przyjmowaniu nowych członków do ONZ.

2) do utworzenia stałej komisji, złożonej ze wszystkich członków Zgromadzenia, któraby obradowała bez przerwy, celem regulowania sporów, aż do rozpoczęcia następnej, zwykłej sesji Zgromadzenia we wrześniu roku przyszłego.

Pierwszy punkt — sprawa veta — dotyczy zagadnienia, nad którym toczą się rozprawy od samego początku istnienia ONZ i po 20-krotnym zastosowaniu veta przez Sowiety przy różnych okazjach nie ulega już wątpliwości, że chodzi tu o postępowanie, które niedawno określił p. Marshall jako „obstrukcję, paraliżującą główne organy organizacji".

Punkt drugi — utworzenie stałej komisji — równa się utrwaleniu Zgromadzenia jako „rady nieustającej". Wprawdzie p. Marshalll zastrzegł się, że nie chodzi mu bynajmniej o wkraczanie na teren zagadnień, które głównie przynależą Radzie i że komisja miałaby za zadanie składanie sprawozdań Radzie lub Zgromadzeniu — jednak jest oczywiste, że powstanie komisji byłoby dość zasadniczą zmianą w strukturze władz ONZ. Chodzi tu mianowicie, według własnych słów p. Marshalla, o „rozłożenie odpowiedzialności za załatwienie sporów szeroko na wszystkich członków". Innymi słowy następstwem powstania komisji byłaby „demokratyzacja" ONZ, przez przerzucenie punktu ciężkości rozstrzygnięć politycznych z Rady Bezpieczeństwa, organu dyktatury wszelkich mocarstw, do Zgromadzenia Ogólnego. W tym rozwiązaniu Stany Zjednoczone, mają pewność poparcia przez opinię międzynarodową, nie obawiają się bynajmniej zmniejszenia swego wpływu — gdy Sowiety, przeciwnie, są pewne, że większość rzadko lub wcale nie będzie po ich stronie.

„WYCIE I RYKI" JAKO METODA DYPLOMACJI

Nic zatem dziwnego, że zgodnie z przewidywaniami, oba te punkty propozycji, p. Marshall'a spotkały się z ostrym sprzeciwem p. Wyszyńskiego Pozostałe bowiem punkty przemówienia amerykańskiego Sekretarza Stanu były raczej wymienieniem spraw, w których różnice stanowisk Rosji i St. Zjednoczonych wystąpiły ostro w ostatnich czasach, a więc sprawy perskiej, greckiej, kontroli broni atomowej. W sprawie Palestyny p. Marshall ograniczył się do poparcia stanowiska większości.

Natomiast, co wywołało zdziwienie i oburzenie, to gwałtowność i demagogiczny charakter odpowiedzi p. Wyszyńskiego. Prasa brytyjska, która zachowywała w ostatnich czasach dużą powściągliwość w krytykowaniu dyplomacji sowieckiej, tym razem była dość ostra w ocenie wystąpienia sowieckiego delegata. Opisując nastroje wśród delegatów różnych państw w Flushing Maedows, korespondent bynajmniej nie wrogiego Sowietom „Manchester Guardian" telegrafował, że „niektórzy spośród nich przyznawali się do niemal fizycznych mdłości" po przemówieniu p. Wyszyńskiego, a w artykule wstępnym tegoż dziennika czytaliśmy:

„Przemówienie p. Wyszyńskiego na Zgromadzeniu było wystąpieniem godnym politowania. Przez półtorej godziny wył on i ryczał i usiłował zmrozić światu krew w żyłach przez stawianie faktów do góry nogami. Czyż rzeczywiście Rosjanie mogą uwierzyć w te bzdury? Jeżeli tak, jeżeli ci którzy w Kremlu szkicowali brulion p. Wyszyńskiego szczerze myślą, że St. Zjednoczone i Brytania chcą drugiej wojny, to muszą być albo przedziwnie ciemni, albo bliscy wariactwa. Prawda jest zapewne po środku"...

„Ale tragiczne jest to, iż Rosjanie nie widzą, że taktyką taką stwarzają wszędzie właśnie tę „psychozę wojenną", którą rzekomo odkryli w Ameryce. Jeżeli będzie wojna, to przyjdzie ona przez narastanie skutków takich nieodpowiedzialnych starań o wywoływanie międzynarodowej niechęci jak wysiłki p. Wyszyńskiego".

Zdaniem „The Daily Telegraph" wystąpienie sowieckiego wiceministra spraw zagranicznych „znowu przyciemniło pesymizm, panujący na horyzoncie międzynarodowym. Ogólna reakcja — to pogłębienie rozdźwięku między Wschodem i Zachodem". A „Times", przypominając tekst wstępu do statutu ONZ stwierdził, że „w potępieńczych zdaniach p. Wyszyńskiego nie było ani znaku tolerancji czy dobrego sąsiedztwa".

NA UŻYTEK WEWNĘTRZNY

Trudno przypuścić, aby p. Wyszyński i jego moskiewscy mocodawcy spodziewali się sympatycznego oddźwięku wśród zgromadzonych delegatów — przez zastosowanie takiej taktyki i takiego stanowiska. Dziwnym się też wydaje zaatakowanie znagla W. Brytanii (w przezornej nieobecności p. Bevina) z okazji obecności wojsk brytyjskich w Egipcie, Grecji i Transjordanii, podczas gdy Amerykanom wypomniał p. Wyszyński Chiny. Po cóż, ni stąd ni zowąd, narażać sobie Brytyjczyków, skoro grało się do ostatniej chwili na rozbieżności brytyjsko-amerykańskie i skoro ze strony brytyjskiej okazywano ostatnio Moskwie wiele wyrozumiałości? Zapewne p. Wyszyński działał z pełną świadomością możliwych następstw swego wystąpienia. Być może — dowiedziano się w Moskwie, że rozbieżności brytyjsko-amerykańskie nie są tak wielkie jak przypuszczano, że ostatnio nastąpiło już pewne ich zmniejszenie, o czym zdaje się świadczyć poprawa nastrojów w rozmowach finansowych, bliższy porozumieniu ton oświadczeń p. Snydera (sprawa zakupów brytyjskich poza Ameryką będzie traktowana „elastycznie"), no i, bądź co bądź, znowu ostrzejszy ton prasy brytyjskiej w odniesieniu do Moskwy.

Wobec tego stanu rzeczy jest prawdopodobne, że w Moskwie zrezygnowano z „urabiania nastrojów" na terenie międzynarodowym przez gierki dyplomatyczne i że uznano za rzecz ważniejszą urabianie wewnętrznej sowieckiej opinii przez utwierdzenie jej w przekonaniu o „kapitalistycznym okrążeniu". Mowa p. Wyszyńskiego byłaby więc skierowana przede wszystkim do ludności sowieckiej, co zdawałoby się mieć potwierdzenie w szerokim kolportowaniu jej przez prasę rosyjską.

AMERYKAŃSKA OFENSYWA DYPLOMATYCZNA

Być może również utwierdziła Moskwę w bezowocności jej propagandy na terenie zagranicznym konsekwencja, z jaką p. Marshall prowadzi swoją ofensywę dyplomatyczną. Jej zasady ukazują się stopniowo zarówno w wystąpieniach dyplomacji amerykańskiej, jak w artykułach p. Waltera Lippmanna w „The New York Herald Tribune", wyprzedzających z lekka posunięcia dyplomatyczne.

Otóż p. Lippmann, odradzając dyplomacji amerykańskiej taktykę „przytrzymywania" Sowietów, „trzymania linii", i dyplomatycznej „wojny podjazdowej" (patrz poprzedni artykuł „Orła Białego") — doradza skoncentrowanie się w politycznej bazie — krajach t. zw. Wspólnoty Atlantyckiej (Wspólnota Brytyjska, państwa łacińskie po obu stronach Atlantyku, Holandia i Szwajcaria, Skandynawia, St. Zjednoczone). Granic Zachodu nie ustala jednak wyraźnie, wspominając, że rzecz ta nie jest zupełnie jasna, jeżeli chodzi o zachodnią Słowiańszczyznę. Stwierdza m.in., że polityka wyczekiwania i „przytrzymywania" skłania szereg państw, w niepewności o swe losy i w obawie, że będą terenem walk, do zachowywania „neutralności" w sporze amerykańsko-sowieckim.

Przypomina — co najważniejsze — że obecna polityka sowiecka jest przede wszystkim dalszym ciągiem tradycyjnej polityki rosyjskiej i pisze:

„Rozszerzenie na Zachód granicy Rosji i rosyjskiej strefy wpływów, choć zawsze było celem Rosji, zostało dokonane wtedy gdy i dlatego, że armia rosyjska pokonała armię niemiecką i posunęła się ku środkowi Europy. To potęga armii czerwonej, a nie ideologia Karola Marksa umożliwiła rządowi rosyjskiemu rozszerzenie granic. To nacisk tej armii daleko poza nowymi granicami czyni wolę Kremla nieodpartą w rosyjskiej strefie wpływów.

„Ta właśnie groźba, że armia czerwona może posunąć się jeszcze dalej na zachód — do Włoch, do Niemiec zachodnich, do Skandynawii — daje Kremlowi i miejscowym partiom komunistycznym nienormalny i nieznośny wpływ na sprawy kontynentu europejskiego.

„Wobec tego, bezpośrednim i rozstrzygającym zagadnieniem w naszych stosunkach ze Zw. Sowieckim jest czy, kiedy i na jakich warunkach można zmusić czerwoną armię do opuszczenia Europy".

Jak z tego widać, p. Lippmannowi chodzi głównie o udowodnienie, że:

1) Sedno zagadnienia tkwi nie tyle w zwalczeniu ideologii marksistowskiej, ile w rozpoznaniu i zwalczeniu tradycyjnej, zdobywczej strategii rosyjskiej.

2) W rozgrywce z Sowietami, St. Zjednoczone powinny w pierwszej kolejności umocnić swe bazy polityczne w krajach, nie objętych zasięgiem wpływów armii sowieckiej.

3) P. Lippmann powołuje się przy tym na opinię prof. Strausz-Hupe z Uniw. Pensylwanii w książce p.t. „Zachodnie granice Rosji", w myśl której ogólną wskazówką co do charakteru ekspansji rosyjskiej jest tajny protokuł sowiecko-niemiecki z 23 sierpnia 1939.

Warto tu przytoczyć następujące wyjątki z tygodniowej londyńskiej prasy politycznej — odnoszące się do związku pomiędzy artykułami p. Lippmanna i obecną taktyką amerykańskiej dyplomacji:

Socjalistyczna „Tribune" pisze m.in., że program p. Marshalla „jest w rzeczywistości przekładem tego co p. Walter Lippmann określił jako „wojnę na zimno" przeciw Rosji; jest to coś więcej aniżeli polityka przytrzymywania Rosjan, zalecana ostatnio przez p. Kennan'a, czołowego urzędnika Departamentu Stanu dla spraw rosyjskich... Jest to, w istocie, rozwinięcie i rozszerzenie „dotkryny Trumana na skalę światową".

Podobnie konserwatywny „Time and Tide": „Inaczej niż p. Byrnes... p. Marshall prowadzi coś co możnaby nazwać „zaczepną" (używając tego terminu w znaczeniu wojskowym, jako przeciwieństwo „obronnej") politykę pokojową. Polega ona na wprowadzeniu do działania czegoś pomiędzy polityką „ przytrzymywania Sowietów", zalecaną przez p. Jerzego Kennan'a szefa wydziału planowania politycznego w Departamencie Stanu i jego szkołą myślenia, a „bojową polityką" p. Lippmanna i tych, którzy idą za nim. W istocie, obie te szkoły myślenia są jednym i tym samym. Różnica jest sprawą odcieni..."

TU ALBO TAM

Jednym z następstw nowego układu stosunków, który powstał na skutek rozpoczęcia amerykańskiej ofensywy dyplomatycznej, jest — na co ostatnio zwrócono uwagę — nieuniknioną już konieczność wypowiedzenia się po jednej lub po drugiej stronie. Nie dotyczy to, oczywiście, takich „rządów" jak warszawski, którego minister spraw zagranicznych jest zwykłym wykonawcą zleceń swych przełożonych w Moskwie, a w Fleshing Maedows odegrał zwykłą rolę dodatkowego delegata sowieckiego. Przed koniecznością tej decyzji stanęły jednak te kraje, które rozporządzając większą lub mniejszą możliwością swobody, unikały dotychczas stuprocentowo jasnego postawienia sprawy. Czyniły to bądź ze względu na nacisk silnych partii komunistycznych (jak Francja), bądź ze względu na sąsiedztwo Rosji (jak Szwecja), bądź dla tego, że znajdując się w strefie sowieckiej, mogły sobie jeszcze pozwolić na b. ograniczoną swobodę ruchów (jak Czechosłowacja).

W obecnej sytuacji, stosowanie owej wahadłowej taktyki graniczy już z akrobacją i grozi lada chwila zapadnięciem się w przepaść. Toteż bezpośrednim następstwem spięcia w Flushing Maedows było wyraźne już opowiedzenie się francuskiego ministra spraw zagranicznych p. Bidault po stronie amerykańskiej, zaś czechosłowackiego p. Masaryka — po stronie sowieckiej.

Strefa „pośrednia" przestaje już istnieć. Pozostają na placu dwaj tylko główni partnerzy. Jednak — jak to niedawno pisał publicysta amerykański — na dnie dzisiejszych trudności jest „fakt, że dwa systemy wielkomocarstwowe na świecie nie mogą istnieć jednocześnie".

jednocześnie dał do zrozumienia, że w tym rozbiciu jakiemu świat ulega, a rozbicia tego ukrywać, jego zdaniem, dłużej nie należy. Francja będzie musiała w końcu dokonać wyboru. Granica francuskich wysiłków kompromisowych będzie osiągnięta wtedy tylko, gdy „Francja musiałaby zgubić swoją duszę, nie opowiadając się po żadnej stronie".

Korespondent „Libre Belgique" w Paryżu dodawał do tego komentarz następujący:

„Podczas gdy wszyscy znawcy spraw dyplomatycznych są zgodni w twierdzeniu, że karty są już rozdane do gry i że nie ma już żadnej nadziei, by można było rozwiązać drogą porozumienia otwarty spór między Amerykanami a Rosjanami, próba uspokojenia podjęta przez francuskiego min. spraw zagr., który podkreślał istnienie trzeciej wielkiej potęgi „światowej opinii publicznej" wobec kolosów waszyngtońskiego i moskiewskiego, wydaje się przede wszystkim pewnym obrazem retorycznym, gdyż w istocie nikt sobie nie wyobraża, by Francja mogła odegrać w tej sprawie rolę pośredniczki, kiedy sama występuje wobec Waszyngtonu z żądaniami, o których wszyscy wiedzą".

Nie przestajemy twierdzić, że tak a nie inaczej wygląda rzeczywistość europejska. Francja pod ciężarem współczesnych wydarzeń coraz wyraźniej zbliża się do Waszyngtonu. A może uważa że to jest najlepszy sposób na paraliżowanie tendencji proniemieckich w polityce amerykańskiej?

Niemcy i Francuzi w Ameryce

(r) Prasa amerykańska doniosła, że p. Kurt Schumacher, przywódca socjalistów niemieckich w zachodniej strefie okupacyjnej, został zaproszony do St. Zjedn. przez Amerykańską Federację Pracy (A.F.L.). Wizyta ta jest bardzo znamienna i nie powinna minąć niepostrzeżenie. Świadczy ona przede wszystkim o wzrastającej ruchliwości amerykańskiej na terenie niemieckim. Dotychczas czynniki amerykańskie w Niemczech popierały raczej ruchy katolicko-społeczne na tym terenie. Dr Schumacher cieszył się natomiast poparciem socjalistów brytyjskich. Pamiętamy jego wizytę w Londynie zimą tego roku. Obecnie otrzymał zaproszenie do Ameryki. Świadczy to również o tym, że i dr Schumacher przesuwa się z osi londyńskiej na waszyngtońską. Wypadek ten jest jeszcze jednym dowodem, że życie zaczyna przekreślać plany budowy trzeciego frontu socjalistyczno-europejskiego obok sowieckiego i amerykańskiego.

Dr Schumacher jest osobistością szczególnie znienawidzoną przez czynniki sowieckie w Niemczech. Stąd zapewne zainteresowanie jego osobą w Ameryce. Ale dr Schumacher wsławił się również jako wróg Polaków i wyznawca wznowienia na wschodzie Europy takiej polityki niemieckiej, która nie różniłaby się właściwie niczym od polityki hakatystycznej czy hitlerowskiej. Stąd niebezpieczeństwa związane z jego wyjazdem do Ameryki i stąd poważne zastrzeżenia, które musiałaby budzić polityka amerykańska, gdyby chciała się w przyszłości oprzeć w Europie przede wszystkim na Niemczech.

Obawy te są nie tylko nasze, polskie, ale wszystkich sąsiadów Niemiec z Francją na czele. Przed wszystkimi więc tymi narodami powstaje doniosłe zagadnienie, jak ustosunkować się do tych tendencji polityki amerykańskiej i jak im ewentualnie przeciwdziałać. W obecnych warunkach szczególnie doniosłe będzie tu stanowisko Francji.

Pisaliśmy już w poprzednim numerze o wyjeździe p. Bidault do St. Zjednoczonych na zjazd ONZ. Otóż p. Bidault wygłosił na Zgromadzeniu ONZ przemówienie, które należy uznać jako dalsze przesunięcie się polityki francuskiej w kierunku polityki amerykańskiej. Zastrzegając sobie powrót do tej mowy stwierdzamy na razie, że p. Bidault przyłączył się z pewnymi zastrzeżeniami i poprawkami do wszystkich inicjatyw amerykańskich na gruncie ONZ. P. Wyszyńskiemu zaś zarzucił mijanie się z prawdą. Stwierdziwszy, że centralnym zagadnieniem europejskim jest sprawa niemiecka, dodał, że „**jedynym** pragnieniem Francji jest to, by w przyszłości Niemcy nie były znowu zdolne zagrozić pokojowi świata", natomiast polityka Francji nie jest polityką zmierzającą do ujarzmienia Niemców i do zemsty.

P. Bidault zapewnił, że Francja będzie usiłowała do końca łagodzić spory światowe nawet kulawymi kompromisami, ale

Gwarancje amerykańskie dla Persji

(r) Bardzo niewiele wiadomości ukazało się w prasie na temat stanowiska Stanów Zjednoczonych wobec żądań sowieckich skierowanych pod adresem Persji. Jak wiadomo, rząd sowiecki wywiera na rząd teherański — wbrew poprzednim ugodom — nacisk, zmierzający do wydania mu koncesji naftowych w Iranie. Rząd brytyjski doradził rządowi perskiemu, by w tej sprawie prowadził rokowania pozostawiając „drzwi otwarte" do zawarcia ugody. Natomiast rząd Stanów Zjednocz. zajął stanowisko zdecydowane, obiecując poparcie rządowi perskiemu w razie jego oporu.

„Daily Telegraph" doniósł z Teheranu, że te zapewnienia amerykańskie zostały tam jeszcze raz powtórzone. Ambasador Stanów Zjednocz. oświadczył przedstawicielom rządu perskiego, że nietykalność Iranu będzie broniona w wypadku odmowy udzielenia nafty Rosji. Zapewnienie to zostało również ujęte w liście amerykańskiego sekretarza stanu p. Marshalla do ambasadora perskiego w Stanach Zjednocz.

Pod względem formalnym gwarancje te nie różnią się wiele od rękojmi, jakie W. Brytania udzieliła Polsce i Rumunii przed drugą wojną światową. Krok Stanów Zjednoczonych w stosunku do Persji jest też jednym z wyrazów wzrastającego naprężenia na kuli ziemskiej. W tym wypadku wszakże chodzi nie tylko o poszanowanie pewnych zasad, ale i o poważne interesy materialne. Powszechnie wiadomo, że zapasy nafty zarówno w Rosji jak i w St. Zjednoczonych zaczynają się wyczerpywać. Tymczasem Środkowy Wschód, kraje arabskie i Persja posiadają wciąż niewyczerpane zapasy ropy (ogółem 4000 milionów ton). Kto zatem będzie panem tych obszarów, względnie kto nie dopuści do tego, by zawładnął nimi rywal, ten wzmocni swe możliwości wygrania walki o wpływy w świecie.

Oczywiście propaganda sowiecka przedstawia krok amerykański w stosunku do Persji jako „prowokację" imperialistów kapitalistycznych.

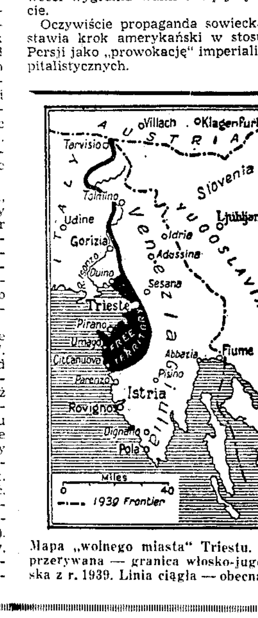

Mapa „wolnego miasta" Triestu. — Linia przerywana — granica włosko-jugosłowiańska z r. 1939. Linia ciągła — obecna granica

SPRAWY POLSKIE

Prasa reżimowa o wrześniu

(r) Prasa reżimowa w kraju uderzyła w jeden ton, pisząc o wrześniu. Polska przegrała kampanię wrześniową, bo prowadziła politykę nierealną. Dlaczego? Dlatego, bo zaufała mocarstwom zachodnim, a nie związała się z Rosją sowiecką. O zachowaniu się jednak Rosji sowieckiej, o pakcie Ribbentrop — Mołotow, o napaści sowieckiej na Polskę w dniu 17 września nie wspomina się w tych pismacha ani słowem. Jak gdyby w ogóle te historyczne zdarzenia nie zaszły, jak gdyby ich w ogóle nie było.

Artykuły mają zresztą tam charakter propagandowy. Rozwijane są pod hasłem „Wrzesień się więcej nie powtórzy" i mają na celu przekonanie społeczeństwa, że tylko w Rosji sowieckiej jest ratunek kraju przed napaściami nowej „reakcji", tym razem zapewne amerykańskiej.

W „Robotniku" (koncesjonowanym) p. Jerzy Kirchmayer obecnie już „generał brygady" napada starym zwyczajem przede wszystkim na przedwojenną politykę zagraniczną Polski. Powtarza więc oklepane „zarzuty", że:

„Rząd polski (przedwrześniowy) nawiązał daleko idącą współpracę polityczną z Niemcami...".

O tym, że rząd sowiecki nawiązał w r. 1939 daleko idącą współpracę polityczną z Niemcami p. Kirchmayer oczywiście nie wspomina.

„Zarzuty" pod adresem polskiej polityki zagranicznej w artykule p. Kirchmayera nie trzymają się jednak kupy, bo już kilka zdań dalej czytelnik dowiaduje się, że mimo tej naszej „daleko idącej współpracy politycznej z Niemcami":

„W dniu 21.III.1939 r. Hitler zażądał w stanowczej formie przyjazdu polskiego ministra spraw zagranicznych do Berlina celem załatwienia tych żądań. Rząd polski odpowiedział częściową mobilizacją i demonstracyjną podróżą ministra Becka do Londynu, w wyniku której Anglia zagwarantowała granice Polski i statut Gdańska. W krótkim czasie doszło do dalszego zacieśnienia stosunków polsko-angielskich przez zawarcie sojuszu wojennego. Ożywiło to z kolei zamarły sojusz polsko-francuski. Polska znalazła więc dość niespodziewanie silne poparcie w konflikcie z Niemcami i licząc na nie, odrzucała z tym większą stanowczością wszelkie możliwości i okazje współdziałania z ZSRR".

Okazuje się zatem, że nawiązanie przez nas współpracy politycznej z Anglią też było błędem, bo to była tylko „demonstracja". Należało porozumieć się z Rosją. P. Kirchmayer nie wymienia oczywiście przezornie, jaka była cena owego „porozumienia" wyraźnie przez Moskwę stawiana. I to pozwala mu na nowy fałsz:

„Należy więc przyjąć, że drugą przyczyną wojny było wojskowe osamotnienie Polski, spowodowane szukaniem przez nią oparcia o wojskowo małowartościowe sojusze z mocarstwami zachodnimi, a odrzuceniem możliwości współdziałania z ZSRR, za co odpowiedzialność obciąża niepodzielnie rząd polski".

Po przeczytaniu tych wywodów czytelnik nie ma już wątpliwości, że do drugiej wojny światowej doprowadził Europę rząd polski, który jest tym „obciążony niepodzielnie". O takim niewinnym fakcie, jak układ Ribbentrop — Mołotow p. Kirchmayer nie wspomina. A na zagarnięcie wschodnich obszarów Polski już we wrześniu 1939 macha z lekceważeniem ręką. Któżby tam się bawił w takie drobiazgi!

Na łamach organu PPR. „Głosu Ludu" p. Jędrychowski uderzył w nieco inny ton. Dla niego dzień 1 września jest początkiem zwycięstwa rewolucji komunistycznej w Polsce. Teraz już nie dziwimy się dlaczego Stalin poparł Hitlera przeciw Polsce: dążył do zwycięstwa komunizmu nad Wisłą. Oto co pisze p. Jerychowski:

„Ogień katastrofy narodowej, jaką była przegrana kampania wrześniowa, zniszczył zarazem zmurszały gmach przedwrześniowego ustroju społeczno-gospodarczego i politycznego.

Trzeba było całego przełomu historycznego, trzeba było dojścia do głosu i do steru nowych sił, reprezentujących masy ludowe, aby naród wszedł na właściwą drogę, gwarantującą mu zwycięstwo i rozwój.

„W pierwszych szeregach tych sił znajdowała się nasza partia zrodzona z bezkompromisowej, czynnej walki z hitlerowskimi okupantami".

„Bezkompromisowi" w walce z hitlerowcami! I to pisze jeden z czołowych stalinowców w Polsce!

Cynizm ten pozwala mu brnąć dalej w fałszowaniu faktów. Przechodząc bowiem do procesu krakowskiego p. Jędrychowski tak rozwija swoje propagandowe tezy:

„Proces ten odsłonił z całą wyrazistością orientację polskiej reakcji na najbardziej reakcyjne, najbardziej imperialistyczne siły międzynarodowe, na te elementy, które pchają do trzeciej wojny światowej, które chciałyby unicestwić pozytywne zdobycze ludów, osiągnięte w toku i w rezultacie wojny wyzwoleńczej, które chciałyby i nas pozbawić owoców pozytywnych doświadczeń pokojowej pracy i wepchnąć powtórnie w odmęty katastrofy.

„Świadomość nieodwracalności dokonanego procesu historycznego i niepowtarzalności katastrofy wrześniowej daje nam poczucie głębokiej słuszności drogi, na którą naród polski wszedł po 22 lipca 1944 r. i poczucie wielkiej siły, jaką stanowią rozbudzone do czynnego życia politycznego, do kierowania państwem masy ludowe.

„Wspomnienie 1 września 1939 roku będzie dla nas zawsze groźnym memento, ostrzeżeniem, wzywającym do czujności wobec wszelkich usiłowań i podszeptów reakcji, bodźcem do utrwalenia pozytywnych zdobyczy.

„Bilans naszych doświadczeń winien być bodźcem dla mobilizacji naszych sił do wyplenienia resztek faszyzmu w kraju, przyśpieszenia procesu spotęgowania naszej odporności i zajęcia mocnej pozycji w Europie".

W tym samym numerze „Głos Ludu" takie wysuwa ostateczne wnioski:

„Lecz dziś Polska jest inna.

„Nie ma w niej Becka, ani Rydza-Śmigłego.

„Jest lud wolny, świadomy swej siły.

„I są z nami sojusznicy, niezawodni przyjaciele — Związek Radziecki, Jugosławia, Czechosłowacja i inne narody, które w śmiertelnej walce z faszyzmem poznały konieczność walki, wartość i cenę wolności.

„Wrzesień się więcej nie powtórzy!"

Niestety wrzesień na ziemi polskiej trwa. Trwa bowiem linia graniczna Ribbentrop—Mołotow. Trwa ujarzmienie kraju przez okupację.

Brytyjska ocena procesu krakowskiego

Prasa brytyjska — jak zaznaczył „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" — z wyjątkiem kilku pism, przemilczała proces krakowski i zapadłe na nim wyroki śmierci. Milczenie to przerwał dopiero „Daily Telegraph", którego korespondent wyciąga wnioski z procesu:

„Proces siedemnastu rzekomych sabotażystów i spiskowców w Krakowie, zakończony wyrokami śmierci na ośmiu podsądnych oraz wyrokami długiego więzienia dla reszty — musi być oceniony jako ważny krok w procesie likwidacji PSL. Istnieją poważne obawy co do przyszłych losów przywódcy PSL St. Mikołajczyka.

„Podsądni zostali oskarżeni o przekazywanie tajemnic państwowych i wojskowych gen. Wł. Andersowi, ambasadorowi U.S.A. w Warszawie, A. Bliss Lane i ambasadorowi W. Brytanii w Warszawie V. Cavendish-Bentinck'owi.

„Proces odbywał się według wzorów sowieckich, stosowanych we wszystkich państwach kontrolowanych przez Sowiety. Nieznany młody człowiek, rzekomo szef Biura Wywiadowczego, w swej „spowiedzi" przed sądem oświadczył, iż wywiad dawał kompromitujące informacje Mikołajczykowi.

„Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że przeciw Mikołajczykowi zainscenizowany zostanie „proces", być może w przyszłym miesiącu. Podobnie jak „procesy" doktora Maniu w Rumunii oraz Petkowa w Bułgarii, ta rozprawa sądowa będzie komedią wymiaru sprawiedliwości, zmierzająca do zatarcia ostatniego śladu legalnej opozycji przeciwko nowemu totalistycznemu reżimowi".

Tyle „Daily Telegraph". Komentarz jego do procesu krakowskiego nie różni się niczym od poglądów polskiej niezależnej prasy emigracyjnej. Wyrok krakowski miał na celu sterroryzowanie społeczeństwa i zniweczenie wszelkich śladów opozycji w Kraju. Pod pozorem walki ze „szpiegostwem" usiłowano raz jeszcze udaremić wszelkie próby, czy domniemane zamiary „oglądania się" na Zachód. Dlatego w procesie wypłynęły nie tylko nazwiska ambasadorów W. Brytanii i St. Zjedn. w Warszawie, ale i gen. Andersa. Organizatorzy procesu zdradzili istotnie duży niepokój, jeśli chodzi o wpływ tego nazwiska na opinię polską w Kraju...

Proces „Komitetu Ziem Wschodnich"

Jeszcze jeden proces rozpoczął się w Polsce. Przed wojskowym sądem w Warszawie stanęli członkowie „Komitetu Ziem Wschodnich", będącego — jak twierdzi prasa krajowa — przybudówką nielegalnego Stronnictwa Narodowego.

Według „Gazety Ludowej" — „wszyscy oskarżeni w liczbie dziesięciu, w tym jedna kobieta, znajdują się pod zarzutem udziału w nielegalnej organizacji i działania w zamiarze usunięcia przemocą Krajowej Rady Narodowej, Rządu Jedności Narodowej, zagarnięcia ich władzy i zmiany ustroju Państwa Polskiego. Kierowali oni antypaństwową działalnością „Komitetu Ziem Wschodnich", utrzymywali kontakty organizacyjne z pozostałymi członkami, pobierali za swoje funkcje wynagrodzenie pieniężne, wypłacane miesięcznie".

„Niektórzy oskarżeni ponadto zorganizowali Komitet Redakcyjny przy „Centralnym Komitecie Ziem Wschodnich", brali udział w zebraniach tego komitetu, dawali kierunek antypaństwowy propagandzie, wydawali i rozpowszechniali nielegalną prasę p.t. „Biuletyn Kresowy", w którym nawoływali do obalenia władz państwowych i podrywania Jedności Sojuszniczej Polski ze Związkiem Radzieckim".

„Oskarżeni są Zieliński Stanisław, prezes Centralnego Komitetu Ziem Wschodnich, Tarnawski Władysław, wiceprzewodniczący Komitetu i współredaktor nielegalnego pisma „Centralny Biuletyn Wewnętrzny". Nowosad Zbigniew, sekretarz i kierownik wydziału org. CKZW. Próchnik Kazimierz, kierownik wydziału propagandy i kierownik wydziału wychowania. Domański Zygmunt, wiceprzewodniczący CKZW, i redaktor Biuletynu. Grudziński Bolesław, członek Stronnictwa Narodowego i CKWZ, i skarbnik. Dalej — Zieliński Józef, Nowotyński Stanisław, Brończyk Kazimierz, Górka Ewa.

Ks. Rektor Dr Cegiełka ustępuje ze swego stanowiska

Ksiądz Dr. Franciszek Cegiełka, Rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji, poprosił J. Em. Ks. Kardynała dra Augusta Hlonda, o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska. Prymas Polski dymisję tę przyjął.

W związku z tym z dniem 17 września 1947 r. agendy Misji przejął w zastępstwie Rektora i tymczasowo ks. dr. Czesław Wędzioch, który sprawował już ten urząd w czasie pobytu ks. dra Cegiełki we więzieniach i niemieckich obozach koncentracyjnych. Po przekazaniu zastępstwa, ks. dr. Cegiełka wyjechał do Dublina na Zjazd Katolickiego Legionu Marii.

Po powrocie z Irlandii ks. dr. Cegiełka uda się do Rzymu.

Z wielkim żalem dowiedzą się Polacy na wygnaniu o wycofaniu się ks. dr. Cegiełki z pracy duszpasterskiej i społecznej, której poświęcał się z całą żarliwością oddanego służbie Bożej kapłana, z całą wiarą nieustraszonego, gorąco swój kraj miłującego Polaka.

Polska Misja Katolicka we Francji, którą kierował, obdarzony zaufaniem Prymasa Polski, była jego dziełem. Poświęcał się mu bez reszty, z całym oddaniem dobrego pasterza. Utrata wolności, zesłanie do obozu koncentracyjnego przez Niemców, to były dowody uznania wartości i znaczenia tej pracy przez wroga. To była cena za przynależność do Kościoła walczącego. Po powrocie z kaźni ks. dr. Cegiełka nadal pozostał człowiekiem walki za wiarę i za wolność swego kraju. Tak rozumiał swe zadanie i swe posłannictwo kapłańskie i społeczne. Zło nazywał złem, prawdę — prawdą. Do odwagi wzywał i hartował widząc jasno, że raz jeszcze przyjdzie na nas okres wielkiej próby, do której gotować się należy przede wszystkim umacnianiem wiary.

Dziś, gdy opuszcza Misję Katolicką w Paryżu, należy mu się od wszystkich Polaków, którymi opiekował się na obczyźnie, słowa głębokiej wdzięczności i gorące Bóg zapłać! Oby danym mu było na nowych posterunkach osiągnąć w służbie Bożej i w służbie Polski wyniki o znaczeniu tak nieprzemijającym jak na placówce we Francji.

BIAŁE KOCE

czysto wełniane, nowe, dużego rozmiaru o wielkiej wartości w kraju wysyła: HASKOBA Ltd. 28, A., Redcliffe Square — London S.W. 10. Cena z ubezpieczeniem wynosi £ 2.10.0 043

DAM PRACĘ I UDZIAŁ

Polakowi chcącemu się osiedlić we Francji z kapitałem od 200.000 fr.fr. Możliwość nauczenia się praktycznego lekkiego zawodu. Oferty do Adm. „Orła Białego", 80 Bld. de Charonne, Paris XX pod „Współpraca". 031a

WSPÓLNIKA POSZUKUJĘ

z kapitałem od 400.000 fr. fr., ze współpracą lub bez. Oferty do Admin. „Orła Białego", 80, Bld. de Charonne-Paris XX pod „Rentowność". 030a

POTRZEBNI STOLARZE

(ebenistes) do Fabryki Mebli. Zgłoszenia do A. Koroleff-24, rue Jeanne d'Arc, Champigny (Seine). Praca stała do objęcia natychmiast. 032a

LISTY DO ODEBRANIA

Poczynając od nr 40 z dnia 4 października br. zamieszczać będziemy na łamach „Orła Białego" wykazy listów, które nie mogły być doręczone w Niemczech ze względu na to, że adresaci wyjechali do Belgii gdzie już pracują.

Ogłaszane listy będzie można odbierać w administracji „Orła Białego" w Brukseli bądź osobiście, bądź za pośrednictwem poczty.

Po Genesis — Exodus

(Dokończenie artykułu ze str. 2-giej)

masową emigrację natychmiast rozpocząć, ale rząd brytyjski w międzyczasie — głównie pod wpływem nieustępliwego Bevina — zmienił swoje nastawienie.

Uchwały następnej komisji — wysłanej przez ONZ — były jeszcze bardziej pro-sjonistyczne, co wywołało w pewnych sferach angielskich tylko jeszcze silniejszą niechęć przeciwko sjonizmowi, Palestynie, emigracji, a nawet w ogóle Żydom. Błędne koło „zabłędniło się" jeszcze dalej.

Niezawodnie istnieje silna opozycja przeciwko polityce Bevina w sprawie Palestyny. Ale ta opozycja w Anglii nie przychodzi ze strony konserwatystów. Toby było naturalne, gdyż Bevin jest najwybitniejszym laburzystą. Bevin jednakowoż, jako minister spraw zagranicznych, cieszy się zaufaniem i poparciem torysów; to jego partyjni towarzysze atakują go za brak pozytywnej i twórczej myśli i nawet za niepotrzebny „sadyzm" w stosunku do nielegalnych emigrantów, których żołnierze angielscy na rozkaz Bevina przemocą wyładowują w Hamburgu (cytuję z pamięci tygodnik socjalistyczny „The New Statesman and Nation").

Tymczasem wpływowe żydowstwo amerykańskie popędza waszyngtoński Departament Stanu do oświadczeń, które się niebardzo mogą podobać Londynowi; w Ameryce też zbiera się poważne fundusze na finansowanie emigracji, a nawet terroru. I tylko sfinks sowiecki uśmiecha się i milczy. Jest mu chyba na rękę ten spór w gronie jego przeciwników.

Co będzie dalej-trudno przewidzieć. Być może, że Anglia ostatecznie pójdzie na podział Palestyny. Ostatecznie broniła się ona długo przeciwko zupełnej niepodległości Indii, ale jednak zgodziła się wreszcie nie tylko na nią, ale także i na podział tego podkontynentu. Być może, że przyjmie ona uchwałę ONZ (jeśli raport komisji zostanie przyjęty). Być może, że Partia Pracy przypomni sobie swoje przedwyborcze przyrzeczenia. Być może, że obecny brak konstruktywnej polityki palestyńskiej zostanie wreszcie zastąpiony czymś innym, pozytywnym, a nie ograniczającym się do bezskutecznego zwalczania terroru i pilnowania flotą brzegów palestyńskich przed „nielegalnymi". Być może, że wbrew poradom urzędników administracji palestyńskiej Whitehall postanowi, że niebezpieczeństwo sowieckie nie będzie ani na jotę większe, gdy Exodus zostanie zalegalizowany i podział kraju przeprowadzony. Być może, że Wysoki Komisarz Palestyny, Sir Alan Cunningham, człowiek na wskroś humanitarny, potrafi przeciwważyć wpływy swoich pro-arabskich urzędników. Być może też, że opozycja przeciw Bevinowi w gronie jego ministerialnych kolegów doprowadzi do jakiegoś skutku. Ale to jest tylko „być może". Jeżeli status quo zostanie utrzymany, status quo błędnego koła, to jeszcze dużo czasu upłynie zanim ostatni rozdział Exodusu naszych czasów zostanie napisany.

Ci zaś, którzy dobrze znają stosunki, jakie panują w Palestynie w roku 1947, twierdzą, że ani zalegalizowanie Exodusu, ani podział Palestyny nie doprowadzą do wojny na Bliskim Wschodzie. Arabowie palestyńscy ograniczą się do protestów i gróźb — powszechnego powstania nie będzie. Arabowie ościennych krajów palestyńskich nie ruszą się. Zatarg byłby lokalny i nie niebezpieczny. W to wierzą też sjoniści, którzy zresztą muszą w to wierzyć, gdyż innego wyjścia nie mają. Poza tym wierzą oni też w swoją siłę militarną, gdyby zaszła potrzeba jej użycia.

Palestyna nie jest tylko arabsko-żydowsko-angielskim zagadnieniem. Ani zagadnieniem ONZ. Palestyńska sprawa jest jedną z tych kilku, które muszą być rozwiązane w duchu sprawiedliwości — w interesie całej ludzkości. Pisze się drugą księgę Starego Testamentu po raz drugi w roku 1947.

SZYMON WOLF

Z PODRÓŻY DO OBOZÓW (I)

BECZKI W SHOBDAN

napisała BARBARA TOPORSKA

W Anglii jeździ się pociągami klasą pierwszą, albo trzecią. Drugiej niema. Klasą pierwszą jeżdżą ludzie z tradycjami. Różnica w cenie jest duża, ale pluszowe obicia i w pierwszej i w trzeciej przechowują ten sam zapach kolejowego kurzu i sprawiają, że — gdy słońce zatrzyma się na szybach — łagodny wrzesień przetapia się w nurzący upał, a zmęczenie mnie twarze, kobietom odkleja szminkę od warg i demaskuje przedwczesne zmarszczki pod pudrem, hennę na rzęsach, starannie roztarty na policzkach róż. Ruda Angielka wydawała się piękna na dworcu w Londynie, a w Worcester wysiadła z wagonu piegowata, z czerwonymi plamami na twarzy i szyi. Jegomość oddzielony od świata rannym wydaniem „Daily Express" po pięciu godzinach jazdy rozgadał się na dobre, jak gdyby uwierał go język, a nie kołnierzyk. — a polski podporucznik łamanym angielskim powierzał perkalowej panience swoje smutne wspomnienia. Podróż dalekobiegniakiem wprowadza stan wyjątkowy. Jedynie małżeństwo ulokowane przy oknie trwało w zgodnym milczeniu przez całą drogę.

Podporucznik wysiadł ze mną na tej samej stacji i potem szliśmy razem po wąskim chodniku wgłąb obcego miasteczka.

— Ci Anglicy są na prawdę bardzo towarzyscy i niesłusznie powtarza się komunały o ich nieużytej małomówności. Widziała pani, jak się rozkrochmalili!

Potakuję, lecz jednocześnie robię przegląd wiadomości zebranych podczas ogólnej rozmowy w naszym przedziale:

Ruda — stwierdziła, że pogoda jest piękna.

Grubas — wyczytał w gazecie, że od 35 lat nie notowano w Anglii równie upalnego lata. Wyraził zadowolenie, że tego roku nam, Polakom, nie naprzykrzyły się deszcze. Sprawdzał, czy wszystkim jednakowo podobała się miła łąki, wygolone ściernie i grupy dębów wielkich jak mamuty.

Perkalowa dziewczyna — interesowała się wszystkim, co opowiadał jej polski oficer i wyznała mu w zamian, że lubi tańczyć, jeździć na wycieczki i chodzić do kina.

Podporucznik — streścił krótko dzieje porozbiorowe Polski. Opowiedział o Kielcach, z których pochodzi. O narzeczonej w kraju, o której wypada mu chyba zapomnieć. O liście, który otrzymał, i o tym, który odpisał. O Tobruku, Irackiej pustyni, o Włoszkach lśniącookich i o tej jedynej, z którą się rozstawał. O filmie, na którym był wczoraj i o Argentynie.

Nawet nieme małżeństwo słuchało go z zainteresowaniem.

AUTOBUS

Autobusy do Shobdan odchodzą ze śródmieścia.

Miasteczko nazywa się Leominster i mogłoby być sześciotysięcznym wycinkiem Londynu. Oczywiście prawdziwy Londyńczyk ma z pewnością właściwy sobie wyostrzony smak, którym odróżnia prowincję. Od porównań trudno jednak się uchronić. Warszawiacy o Londynie mówią „dziura" i z poza przesady można wyłuskać sporo słuszności, mimo, że przedwojenna Warszawa mogłaby się co najmniej z dziesięć razy pomieścić na obszarze Londynu. Nastroju wielkomiejskości nie podobna bowiem wyrażać samymi cyframi, a niewątpliwie w Warszawie żyło się na prawdę bardziej szumnie i stołecznie, niż w ...mieście, w którym tak długo rządziła dobra, stateczna i cnotliwa królowa Wiktoria. Jeśliby jednak wyrwać z pamięci, z jakiegokolwiek bądź powiatu, parotysięczne polskie miasto i porównać z tym wyasfaltowanym na „glanc" Leominster, odległość geograficzna wydałoby liczyć nie angielskimi milami i nie kilometrami zapylonych dróg, a — miarą nędzy, niepowodzeń, nieurodzajów ekonomicznych i politycznych.

Tęsknota jednak robi swoje: cóż to jest właściwie Leominster?! Bywało, że w takiej małej, polskiej mieścinie wybito ścianę w którymś z rynkowych domów i w miejsce pachnące futryny wstawiano wielkie szyby wystawowe. „Lustrzane" — mówiło się. Otóż nowy sklep w naszym miasteczku, jakiś, powiedzmy, „Singer" z maszynami do szycia, to jakby synteza tego zagranicznego świata reprezentowana przez takie Leominster pastą do zębów, blaszankami konserw i modą seryjnie szytych ubrań.

Autobus odjeżdża o piątej. Asfalt wyprowadza na przedmieścia, a potem spływa w dół łąkami. Pasażerami są w większości Polacy z obozu wojskowego w Shobdan. W obozach mieszka się z rodzinami, więc kobiety powracające z miasta z koszami sprawunków zagajają zwykle, sąsiedzkie rozmowy. O cenach, dzieciach i kartkowym mydle.

Za jakąś osadą, w terkot słów i motoru, w benzynowy swąd i papierosowe dymy wcisnął się niespodzianie zapach dojrzewających jabłek. — Urodzaj — powiedział ktoś. Rzeczywiście sady wypchnęły ku drodze gałęzie do przesady oblepione owocami.

Żeby to tak u nas — zaczęła kobieta za mną — to by się do nich już podobierały dzieciaki...

— Co też, pani! — ofuknął ją starszy podoficer. — U nas!... u nas!... Cóż to u nas jabłka nie dojrzewały może?! I szosy nimi wysadzano na Pomorzu!

— No tak... — westchnęła kobieta.

— To czego p... i swój kraj krytykuje?! A widzi pani, ci Anglicy nawet sadu nie zaorzą i marnują drzewa w murawie.

— Ziemia silna.

— Wszystko jedno. Kultywować trzeba, jeśli już mówić o kulturze.

Za zakrętem jest Shobdan Na przystanek wybiegły dzieci z obozu, grupa kobiet rozprawia pod żywopłotem, wśród nich kilka z wyraźnie zarysowaną ciążą. Po godzinie towarzyszę przy kąpieli trzymiesięcznego Marcina, a jego matka tłumaczy mi: — Wszystkie tu „oczekują", albo lewo co porodziły. Dziennie przychodzi w Anglii na świat przeciętnie ośmioro dzieci polskich. Wyobraź sobie! — wytrzeszcza na mnie oczy.

W progu staje sąsiad, wspólnokąpielowej izbowej „beczki śmiechu", por. Fudala. — Syn! — oznajmia. — Przed chwilą otrzymałem depeszę od żony: „O godzinie trzeciej urodził się nasz Jan Kazimierz".

Marcin wrzeszczy, bo zamoczyła mu się świeżo zaszczepiona ospa

PRZYSZŁOŚĆ

Zamieszkałe beczki przestały być koszmarem. Są „z wygodami", z elektrycznym światłem, bieżącą wodą. W beczce małego Marcina lśni linoleum na posadzce. W oknach wiszą firanki, u wejść nierzadko kwitną grzędy, a horyzont otoczył obóz miękką linią falistych, zadrzewionych wzgórz. Opodal, o jakieś trzysta metrów drogi wzdłuż żywopłotów i jeżyn, rozpoczyna się las-park pokryty paprocią dwukrotnie przewyższającą człowieka. Po stawie pływają łabędzie. Ryb łowić nie wolno, ale coraz ktoś z obozu w sitowia zarzuca wędkę. Pomimo zakazów, rozkazów, ostrzeżeń. Ot, tak sobie. Nikt zresztą dotychczas z tej wody ryby nie wyciągnął. Niechętni ludzie z okolicy mogą natomiast wyciągać niesympatyczne wnioski.

Nad drzewami płynie niebo, w stawie obłoki marszczą swoje odbicia na trasach przepływających łabędzi, nad obozami przepływa czas. Wydaje się, że angielskim władzom zależy na jak najszybszym rozładowaniu obozów. Na miejsce wyrzekań na beczki wstępuje niepokój, dokąd trzeba będzie z tych beczek wyruszyć. Istnieją dwie drogi: praca w Anglii, albo dalsza emigracja.

Wśród moich rozmówców zdania są podzielone. Tak wśród żołnierzy, jak i pośród oficerów, którzy społecznie reprezentują klasę t.zw. inteligencji. Z obozu w Shobdan dotychczas przeszło do pracy cywilnej 577 szeregowych i 3 oficerów. Cyfry te, tak niewspółmierne do stanu liczebnego tych dwóch grup w PKPR, wskazują przede wszystkim, jak trudno uzyskać odpowiednie zatrudnienie w Anglii cudzoziemcowi ze średnim lub wyższym wykształceniem. Pozwolę sobie zaryzykować twierdzenie, że bez każdorazowej, indywidualnej inicjatywy sprawa ta w całości okaże się nie do rozwiązania. Jeżeli zaś chodzi o emigrację zamorską, to wiadomo już jest także, że kraje, do których można emigrować, mogą zapewnić dobra przyszłość jedynie robotnikom wykwalifikowanym, a z zawodów inteligenckich jedynym bodaj inżynierom-technikom. No, ale ktoś otrzymał list, że w Argentynie pieniądze leżą na ulicy...

W kraju pisze się dużo o wygodach emigracji, o ludziach, którzy nie chcą wracać z obawy przed ojczystym niedostatkiem. Tu, w Shobdan, sprawy te wyglądają na prawdę inaczej. I niesprawiedliwie byłoby posądzać tych, którzy myślą gdzie indziej szukać osobistego szczęścia o zupełny brak pobudek politycznych.

— Emigracja będzie tyle warta we wpływy i znaczenie — tłumaczy rotmistrz — ile w niej wytworzy się własnej zamożności, niezależności i dobrobytu, który może kiedyś zostanie do kraju przeniesiony.

— No tak — odpowiada inny. — Ale czy jest pan w stanie zaręczyć, że w Argentynie, czy Kanadzie tak się wszystkim akurat szczęśliwie powiedzie? Jest wiadomo, że ochrona pracy w Anglii i poziom płac robotniczych ustępuje tylko N. Zelandii i Australii. Ryzyka indywidualnych powodzeń nie można opłacać rozproszkowaniem emigracji, które bezwątpienia wpłynie na jej polityczne osłabienie.

Jedno jest pewne. Polacy potrafią wprawdzie dyskutować, ale nigdy nie potrafią przekonać się wzajemnie. Rozmowa kręci się na miejscu wokół tych samych z uporem powtarzanych argumentów, wypływa przez otwarte okno beczki podniesionymi głosami, a potem urywa się nagle przypomnieniem, że coś tam w obozie trzeba jeszcze załatwić. Zmierzcha. Jeden odszedł ze swoim i drugi pozostał ze swoim. Mam na dzieję, że jednak coś z tej upartej pasji ocaleje i że to właśnie będzie dobrze.

PRACA

O braku pracy fizycznej mówić nie można. Do obozu napływają zapotrzebowania, jest ich więcej niż kandydatów. Przyjęcie pracy oznacza przeważnie pożegnanie z obozem. Tylko kilkunastu żołnierzy chodzi co dzień na polskie farmy i wraca. Inni odjechali dalej i, niestety, kontakt ich z obozem zbyt szybko się urywa.

Z Shobdan zostało zatrudnionych:

W rolnictwie 128 szeregowych, w górnictwie 164 szeregowych, 1 oficer, w rzemiośle 65 szeregowych, w fabrykach 175 szeregowych, służba domowa 38 szeregowych, inne 7 szeregowych i 2 oficerów.

Zestawienie powyższe nie ilustruje podaży na pracę, ponieważ, jak już zaznaczyłam, zapotrzebowania przewyższają liczbę zgłaszających się. Nie jest także właściwą oceną zawodowego przygotowania, gdyż, jak dotychczas robotnicy dostają przeważnie pracę, jako niewykwalifikowani, a więc na najniższym stopniu uposażeń.

Zdarza się więc bardzo często, że wypraktykowany rolnik idzie do fabryki, ponieważ minimum wyposażenia jest tam lepsze i daje możność wynajęcia odrębnego mieszkania.

Hostele robotnicze nie wzbudzają ufności — dotychczas nie przebudowano sal sypialnych, chociaż zanowiedź przejścia na parooosobowe izby nie została cofnięta. Ludziom nie chce się wierzyć, że w Anglii czeka się na wszystko cierpliwie w kolejkach. Na pozwolenie odnowienia domu, na wprawienie szyby, na założenie telefonu.

PANNA MICHALINA

Panna Michalina dowiedziała się, że na wyjazd do Ameryki, gdzie ma zamożne, ucżynne, chociaż nieznane zupełnie ciotki, będzie musiała czekać co najmniej dwa lata.

— Spłakałam się — mówi — w tym Londynie, gdziem sobie po tę wiadomość pojechała. Ale cóż — mówi — moja filozofia jest taka, żeby się nie martwić. Człowiek — mówi — smutkiem się nie naje, choćby go sobie aż po dziurki od nosa natkał. Poszłam na służbę.

Dom chlebodawców p. Michaliny jest niedaleko od obozu i dowiedziałam się, że odwiedza ona często panią P., u której kiedyś pracowała, a potem przeżyła całą wojnę, aby pomagać bezinteresownie w obszywaniu licznych dzieci, porządkach w beczce, usługiwać w czasie choroby. Panna Michalina jest więc nie tylko mądra, ale i dobra.

— A gdzież tam ja madra! Już chyba całe życie zostanę taką ciemną maską. Dwa miesiące u moich „mruczków" służę a francuzem się nic tego ich angielskiego nie nauczyła. Nauka w żaden sposób nie idzie mi do głowy.

— No to jak panna Michalina z nimi się porozumiewa?

— A tak: trochę nogami, trochę rękami. Jak wstawili elektryczną kuchenkę, to mi tłumacza sprowadzili, bym zrozumiała, jak się z nią obchodzić.

Panna Michalina jest kucharką. Dostaje dwa i pół funta tygodniowo, utrzymanie, dwupokojowe mieszkanie z łazienką, meblami i radiem. Sprzątanie, pranie, chodzenie po zakupy do niej nie należy. Gotuje dla trzech osób. Pracę kończy o czwartej.

— No to pani chyba zadowolona z warunków?

— Oczywiście.

— A dlaczego chce pani wyjeżdżać?

— A cóż ja, proszę pani, całe życie będę wśród garnków robiła? Każdy mierzy powyżej siebie — prawda? Zresztą Anglia mi się nie podoba. U nas na wsi to psy szczekały, kot miauknął, krowa chociaż zaryczała. Tu nic — cisza. Popędziłam kiedyś stado baranów na łące: niechże zabeknie który! Gdzie tam! Moi mruczkowie też całymi dniami chodzą na palcach i czytają gazety. Budyń spaliłam. Myślę: będzie awantura. — I co? — Nic. — Jak tam kto. Ale ja do takiego życia się nie nadaję. I, proszę pani, o czym mówić? — Wszędzie dobrze, gdzie nas niema!

Roztropna Michalina tak określiła nastrój potrzebny każdemu z nas: wierzyć w przyszłość inną i lepszą. Nie trzeba tylko jej ostatniego zdania brać za dosłowną naukę.

Z HUMORU SZWAJCARSKIEGO

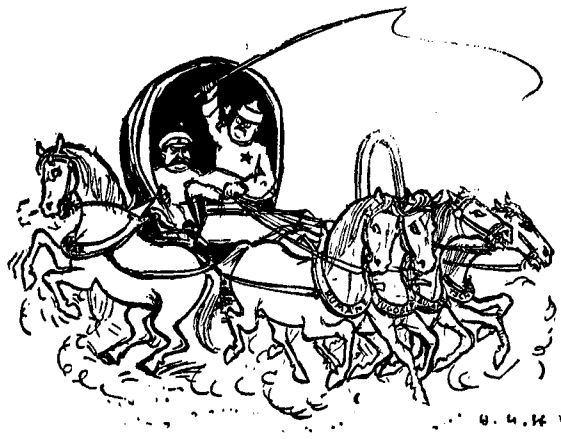

Koń z puszty wierzga („Die Weltwoche")

JAKÓB ROŻENEK

O domach w Londynie i o Domu Kombatantów

W ciągu ostatniego roku namnożyło się w Londynie polskich pensjonatów i domów polskich gdzie starym, dobrym sposobem można podjąć sobie pokój „u rodaków": Lokowanie emigracyjnych oszczędności w tak zwanym „dachu nad głową" stało się popularne, jeśli nie naginnne. Objaw to może zdrowy, daje podstawy pod spokojniejszy byt. Skoro ma się gdzie mieszkać, to ostatecznie zarobione 5 czy 6 funtów tygodniowo nie pozwala nikomu z głodu zginąć.

Zakup domu jest też najbardziej ulubionym tematem rozmów polskiej kolonii w Londynie. Słyszy się niesamowite historie, jak to ten lub ów — „za nic, panie, za nic" — kupił sobie dom, jak go również za nic umeblował, i jak to godnie ciągnie z niego zyski, podnajmując pokoje „ze śniadaniem", lub bez, mniej szczęśliwszym rodakom, którzy nawet owego „nic" na zakup własnego domku nie uciułali, lub nie umieli wygospodarować. A że kandydatów na mieszkanie jest dużo, znacznie więcej niż mieszkań, więc zarobek z wynajmu jest wcale grzeczny. Specjalnych też dowodów filantropii w stosunku do rodaków ze strony polskich „kamieniczników" zauważyć nie można. W dodatku, polskie pensjonaty mają często niektóre cechy, które wyróżniają je od angielskich. Są niestety przeważnie niechlujne.

Jest też pewna ilość hoteli i hotelików, które mają zabezpieczyć nocleg dla przyjezdnych. Słyszy się o nich zdania różne i co do wygód, które zapewniają i co do uprzejmości obsługi. A no, wiadomo. Popyt duży — podaż nie wielka.

Nie brak też restauracji polskich. Cieszą się opinią doskonałą, jeśli chodzi o kuchnię. Rzeczywiście dają jeść doskonale. Ale żeby jadał w nich człowiek, który w czasie minionych lat wojny wykazał mniej zmysłu gospodarczego, musi on zrezygnować np. z dziennej dawki papierosów. Jeśli zaś chce jeść i palić, to niech postoi w ogonku u „Lyons'a".

Dla Polaka przyjeżdżającego do Londynu dla znalezienia pracy, załatwienia spraw w PKPR, czy po prostu „tak sobie", problemem zasadniczym jest odszukać kogoś, kto może mu powiedzieć gdzie co się mieści, gdzie, kiedy i kto co załatwia, — jak gdzie dojechać i w ogóle co począć, żeby nie zmarnować owych kilku dni i wrócić do obozu z czymś więcej niż znużeniem, rozgoryczeniem, lub co gorsza złudną nadzieją na załatwienie, wzbudzoną przez niesumiennego informatora.

W instytucjach, gdzie za usługę się płaci, uprzejmość stoi w stosunku do ilości pieniędzy, które się płaci. To rzecz wiadoma. Tam zaś, gdzie się nie płaci, — lecz gdzie się „załatwia", przeważa traktowanie każdego jako „petenta", który z reguły nie ma słuszności i któremu pomóc nikt nie jest zobowiązany.

Stwierdzić to niestety można — bez żartów już teraz, — że chęci dopomożenia, szczerej rzetelnej. Polak przyjeżdżający do Londynu nie znajduje — wśród zamieszkałych tam Polaków, pracujących i urzędujących. Zaradzić temu pragnie Stowarzyszenie Polskich Kombatantów przez zakładanie tzw. Domów Kombatanckich. Pierwszy z takich domów, właśnie w Londynie, działa już i zadanie swoje spełnia.

* * *

Jakim celom służyć mają Domy Kombatanckie? W krótkich słowach możnaby tak ująć. Mają być praktycznym sposobem spełnienia tych założeń i zaspokajania tych potrzeb, dla których istnieje samo SPK. Mają stać się ośrodkami społecznymi, dokoła których mogliby skupiać się zdemobilizowani żołnierze polscy na terenie Anglii, wiedząc, że znajdą tam nie tylko możność towarzyskiego współżycia i okazję do zapłacenia jednego szylinga składki, lecz że uzyskają pomoc we wszystkich trudnościach, na które życie na obcym terenie, — bez klucza do wszystkich drzwi w postaci pieniędzy — może ich narazić.

Domy Kombatanckie mają służyć swoim członkom, a nie być jedynie siedzibą władz, jeszcze jednym polskim urzędem. Muszą zatem zapewniać kwaterę i tanie wyżywienie przyjezdnym, posiadać ośrodki informacji prawnej i zawodowej, pośredniczyć w wyszukiwaniu pracy, prowadzić kolportaż czasopism i książek, stać do dyspozycji jako miejsce zebrań i spotkań prywatnych, być wreszcie czymś pośrednim między angielską formą klubu a polską instytucją świetlicy.

* * *

Nie wszystko z tego było w stu procentach możliwe do urzeczywistnienia w pierwszym z otwartych na terenie Anglii Domów Kombatanckich w Londynie. Położenie w centrum olbrzymiego miasta, szczupłość pomieszczeń i konieczność ulokowania biur centrali i oddziału W. Brytanii, nie pozwoliły na otwarcie warsztatów i magazynów, które zamierzone są np. w Manchester, gdzie powstać mają warsztaty szewckie, krawieckie i inne, a nawet, z czasem, kościół polski — wszystko w obrębie pomieszczeń Domu. W Londynie uruchomiono jedynie zakład fryzjerski.

Zrobiono natomiast bardzo wiele, jeśli chodzi o założenie taniej i na prawdę doskonałej restauracji, na kierownika której wybrano jednego z czołowych restauratorów warszawskich, p. Dakowskiego. Dwie przestronne sale, skromne lecz bardzo nowocześnie i nie tandetnie umeblowane, pozwalają na wydawanie do 150 obiadów i kolacji dziennie w cenach nie przekraczających cen popularnych „Lyonsów". Do tego dochodzi kawiarnia, prowadzona z właściwym w tego rodzaju imprezach talentem polskim. Brak tego rodzaju instytucji dawał się bardzo boleśnie odczuwać w Londynie, gdzie kawiarnie w polskim czy kontynentalnym znaczeniu tego słowa są nieznane.

Hotel, mający około czterdziestu łóżek, okazuje się rzecz jasna za szczupły, by móc pomieścić wszystkich kandydatów, których ilość jest tym większa, im lepsze są warunki mieszkaniowe i mniej wygórowana cena.

Dom londyński posiada poza tym doskonałe biuro informacji i porad, dumę SPK na terenie angielskim. Jest to — stwierdzam z całą stanowczością — jedyne polskie biuro w Londynie, gdzie otrzymuje się na prawdę rzeczowe i wyczerpujące informacje we wszystkich sprawach mogących obchodzić Polaka. Widoczne jest, że pracujący w nim zadali sobie trud, każdy w swej specjalności, zapoznania się z angielskim schematem życia, przepisami prawnymi i zwyczajami na rynku pracy, a co więcej, nie ulękli się zagłębienia się w dżunglę przepisów i instrukcyj wydawanych dla PKPR, przez PKPR i w związku z PKPR.

* * *

Mile uderza strona kalkulacyjna przedsiębiorstwa. Odbiega od znanych nam dobrze wzorów. Nie jest prywatnym źródłem dochodu, nie jest jednak także instytucją filantropijną. Obliczone jest na istnienie bez subwencji, innymi słowy skalkulowane zostało handlowo. Wierzymy i pragniemy, by ta zasada samowystarczalności wytrzymała próbę życia. Jest to nam potrzebne jak kawałek chleba z masłem, by zobaczyć wreszcie polską instytucję społeczną zmontowaną wiadomo dlaczego i utrzymującą się wiadomo za co.

* * *

Położony w dobrym punkcie miasta przy Queens Gate Terrace, blisko Inspektoratu PKPR, Dom ściąga ludzi do siebie. Jest zawsze w miarę tłoczno i co najważniesze — pogodnie. Członek PKPR w Domu widzi dowód, że związek do którego należy, na prawdę istnieje i coś robi.

Dowody pracy są widoczne i przykładów możnaby przytoczyć wiele. Najważniejszym bodaj jest fakt, że dopiero dzięki inicjatywie SPK, dzięki posiadaniu własnego lokalu i hotelu, można było zorganizować zjazd tzw. „opornych" t.j. tych żołnierzy, którzy nie godząc się na powrót do kraju, nie zamierzają jednak wstępować do PKPR, i ułatwić im porozumienie z właściwymi władzami angielskimi.

Do zagadnienia „opornych", jednego z najtrudniejszych i dokoła którego powstało wiele pogłosek, odbiegających daleko od obiektywnej prawdy, powrócimy jeszcze w osobnym artykule.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązania krzyżówki Nr 2 nadsyłać należy na adres redakcji: 186a, Av. Rogier, Bruxelles, w terminie do dnia 9 października.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 1 ogłoszone będzie w numerze 41 O.B. dnia 11-X.

Rozwiązanie krzyżówki Nr 2 — w numerze 42, dnia 18-X.

Za trafne rozwiązanie dziesięciu kolejnych łamigłówek redakcja przyznaje nagrodę w postaci książki H. Sienkiewicza: „Quo Vadis".

KRZYŻÓWKA Nr 2

Poziomo

1. Gra w piłkę
2. Zdolność w wysokim stopniu
5. Część statku morskiego
7. O wieczornej porze
8. Ptak grzebiący
9. Instytucje finansowe
11. Miasto sławne walkami w ostatniej wojnie (Brygada Karpacka)
12. Stolica państwa na śr. Wschodzie
13. Epidemia
15. Muzykant
17. Imię męskie zdrobniałe
18. Papuga
19. Kraj najwyżej położony na świecie
20. Rzeka w Szwajcarii
21. Sławne bitwą napoleońską
22. Pierwsza żona Kazimierza W.

Pionowo

1. Zaprawa malarska
2. Namiastka złota
3. Zmartwienie
4. Służy do ochrony
6. Prowincja włoska
8. Wróżka
9. Zjawisko atmosferyczne
10. Ptak domowy
13. Wesołe spędzenie czasu
14. Archipelag na Zach. Atlantyku
15. Imię biblijne
16. Przeciwieństwo praktyki

CZYTAJCIE
„DZIENNIK POLSKI I DZIENNIK ŻOŁNIERZA"
Biura wydawnictwa: 151-153 Curtain Road, London E. C. 2

WARSZAWSKI KRAWIEC
F. PALMAN
przyjmuje nowe zlecenia i wykonuje je w możliwie najkrótszym terminie
Wielki wybór pierwszorzędnych materiałów damskich i męskich.
Ceny umiarkowane.
52, Berwick Street (Oxford Circus) London, W. 1. Tel.: GER 3068. 036

DBAJ O FUTRA!
Vanek najlepiej przerabia, farbuje, czyści i przechowuje wszelkiego rodzaju futra. Robota pierwszorzędna. Ceny umiarkowane.
4 William St. Knightsbridge, S. W. 1. również w Bournemouth. 024

NEW COURT HOTEL,
45, Inverness Terrace, London, W. 2. Tel.: BAYswater 1453.
Komfortowe pokoje z utrzymaniem.
Mówi się po polsku. 042

KLUB BIAŁEGO ORŁA
2 Albert Gate, S. W. 1. tel: KEN 8666
prowadzi:
Dział Informacji czynny od 8 rano do 12 w nocy.
Hotel (pokoje zbiorowe) dla P.P. Oficerów P.K.P.R.
Restaurację dla P.P. Członków i wprowadzonych gości.
Kawiarnię z bufetem zaopatrzonym w zakąski, ciastka własnego wyrobu, napoje zimne i gorące oraz chłodniki.
Przy kawiarni sala bilardowa oraz czytelnia pism i dzienników.
Teatrzyk artystyczny w każdy czwartek i piątek.
Klub Brydżowy czynny codziennie od godz. 3 pp. do 11 w.
Dancingi popularne w soboty i niedziele od 6 do 10 w.
Fryzjernia dla Panów otwarta od 10 rano do 7 wieczór. 022

KSIĄŻKI SZKOLNE
dla Gimnazjów i Szkół Powszechnych poleca
Księgarnia „LIBELLA"
12, rue St. Louis en l'Ile — Paris IV
metro: Sully — Morland
Żądajcie bezpłatnych katalogów 029a

FUTRA
w Polsce bardzo drogie, a zima sroga,
Zaopatrz się, lub Swoich.
Polski kuśnierz LANGER & CO. Ltd., 1, Notting Hill Gate — London W. 11. Tel.: BAY 3773.
Doradzi i sprzeda tanio. Przeneszone FUTRA naprawia, odnawia i przechowuje. 031

W związku z transportami dla EMIGRANTÓW POLAKÓW, którzy mają zamiar wyjechać do ARGENTYNY, podajemy do wiadomości, że Kompania Nawigacyjna „DODERO LINIA" ma miejsca na okrętach: „CORDOBA" i „ENTRE RIOS", które RAZ W MIESIĄCU na przemian odejdą z portu SOUTHAMPTON do BUENOS AIRES.
Bliższych informacji udzielają reprezentanci:
STELP & LEIGHTON Ltd., 9—13, Fenchurch Buildings, London E.C. 3. 033

KSIĘGARNIE POLSKIE
„ORBIS"
Londyn: 38 Knightsbridge, S.W. 1, tel SLOane 2701.
Edinburgh: 31a Castle Street tel. 24705
Otwarte codziennie do 6-tej, w soboty do 5-tej
WIELKI WYBÓR
książek i czasopism, podręczników do nauki języków, słowników, podręczników technicznych i zawodowych
DZIAŁ ODZNACZEŃ WOJSKOWYCH
Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast 027

Kawiarnia — Restauracja
WILERBY
6, Hanover Street (Oxford Circus) W. 1.
zaprasza Polaków na:
obiady, herbatkę taneczną, kolację z tańcem
(Melodie polskie)
Ceny umiarkowane
Kuchnia kontynentalna 018

OFICJALNE
Polskie Biuro Informacyjne i Porad Prawnych
20, rue Macquart — Lille—Francja
tel. 393.40
ZAŁATWIA
tłumaczenia urzędowe, dokumenty, kontrakty, śluby, naturalizacje, pełnomocnictwa itp. 020a

NYLONY 20 sh. para oraz inne paczki do Polski
CYLKOWSKI, 21, Redcliffe Street LONDON S. W. 10
021

DOKTOR PRAW
TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY przy Sądzie Najwyższym
Tłumaczenia urzędowe — śluby — naturalizacje — sprawy sądowe — cywilne — handlowe — podatkowe.
Porady bezpłatne.
Dr. Leon Szelągowski
3, rue Debrousse — PARIS (16-e)
Metro: Alma-Marceau 07a

TANIO I SZYBKO dostarczam wszelkie odznaczenia wojenne brytyjskie i polskie, baretki pojedyńcze za 3—2/6, platrony baretek po 1 szylingu, z podkładką welwetową po 1/3 od baretki.
Naklądki na baretki od 9d do 1/6 za szt. M. Fox, 31 Buckingham Palace Road, London S. W. 1. 028

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą według taryfy):
W W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/, rocznie 36/. Należności za prenumeratę, nadesłaną czekiem, Postal Orderem lub Money Orderem, przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1. Tam należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.
W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60. Należności za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. nr. 785.008, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres.
WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480. Zamówienia oraz należność przyjmuje red. TADEUSZ KOPEĆ 80 Bd de Charonne — PARIS XX, nr. konta pocztowego Paris ce 571392 lub S-TE „LIBELLA" Librairie — 12 rue St. Louis en l'Ile — PARIS nr. konta pocztowego Paris ce 565150.
W HOLANDII miesięcznie fl.: 1,50, kwartalnie 4,30. Wpłacać przekazem pocztowym: Poolsch Aalmoezenier, Gasthuisstr. 45 Heerlen (Limburg).
W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem, Fribourg 2. Case postale 19.
WE WŁOSZECH lir: kwartalnie 420. Prenumeratę przyjmuje J. MIECZNIKOWSKI, „Kiosk Polski", via Vittorio Veneto 62, Roma. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym.
W SZWECJI koron: miesięcznie 3,50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie", Riddaregatan 25/I, Stockholm.
OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii przyjmuje wyłącznie firma BERRY Company, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez łam £. 1.—

NADESŁANYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA NIE BIERZE ŻADNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI

ADRES REDAKCJI: Bruxelles (Schaerbeek) 186a, Avenue Rogier
WYDAWCA: S. Philippe, Reg. de Comm. No. 141562/41 — Bruxelles
Imprimé en Belgique par Imprimerie Industrielle et Financière „IMIFI" S. A. 47, rue du Houblon, Bruxelles